

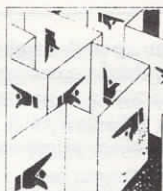
OPINIE

Na drodze ugody nie ma możliwości zatrzymania się ani w wybranym czasie ani w określonym miejscu. Nie miał jej nawet Pétain w wielkiej Francji, ale mógł ze swą polityką ugody przetrwać szereg lat i mogła ona nawet dawać owoce. Państwo słabe nie na możliwości prowadzenia wielkiej gry politycznej, czy małych rozgrywek. Jedną ma przed sobą drogę, jasną i prostą: drogę zasad, prawa i honoru. Każda inna prowadzi do zdrady i hańby, niczego nie ocala, przed niczym nie zabezpiecza. Nawet przed starciem na miasteczko.

Juliusz
SAKOWSKI



SROKOWSKI:
Czy chłopci
walczyli z
komunizmem
s. 3-5



WYBORY,
WYBORY
WYBORY...
s. 7-8



KOZŁOWSKI:
Wieniawa -
kabotyn, bir-
bant, literat...
s. 10-14

SOLIDARNOSC WALCZĄCA

MIESIĘCZNIK NR 17-18 (285-286) ROK X XI-XII 1991 r., cena 2800 zł

raport miesiąca:

ANTYKOMUNIZM

Amerykańscy intelektualiści o rozpadzie Sowietów

Jest takie stare powiedzenie, że to co dla naszych rodziców było niemożliwe, okaże się naturalną kolejną rzeczą dla naszych dzieci" stwierdza felietonista i członek Instytutu Hoovera Arnold Beichman. Dla tych intelektualistów z Zachodu, którzy przez całe życie walczyli z komunizmem, obserwacja rozpadu najsilniejszej partii komunistycznej na świecie, była ekscytującym przeżyciem.

Upadek komunizmu był oczywiście przewidywany od jakiegoś czasu - George Orwell zapowiedział go już pół wieku temu. „Jest za wcześnie, aby powiedzieć w jaki sposób reżim rosyjski dokona samozniszczenia”, napisał. „W każdym razie reżim ten, albo stanie się demokratyczny, albo przestanie istnieć”.

Jednakże, zupełnie co innego opracowywać przez wiele lat teorie dyskredytujące podłoże intelektualne ideologii marksistowsko-leninowskiej, a co innego ujrzeć jak te teorie zostają wcielone w życie - jak to się stało w ostatnich tygodniach sierpnia.

„Wyobraźcie sobie, że macie pierwszorzędną rolę w teatrze rewolucji. Miejsca, z których najlepiej widać scenę! To właśnie jest to co nazywam CNN-izacją świata. /opanowaniem świata przez CNN/, mówi Beichman. „To było jak mecz bokserski. Są górą! Przegrywają! Jest przewinienie! Nie ma przewinienia!” Jego emocje są zrozumiałe. Beichman jest jednym z weteranów amerykańskiego antykomunizmu, byłym prezesem Amerykańskiego Komitetu Wolności Kultury.

Przecież jest to walka, dla której wielu poświęciło całe życie i wygląda na to, że byli świadkami ostatniego już stadium destrukcji komunizmu. „Nigdy nie myślałem,

że dożyję tego dnia”, mówi Norman Podhoretz, wydawca magazynu *Commentary*.

„Nieomal pierwszą moją myślą było: Szkoda, że Sidney tego nie dożył” wyznaje Midge Decter była przewodnicząca Komitetu Wolnego Świata, mając na myśli Sidneya Hooka, filozofa, który zmarł dwa lata temu, i który był powszechnie uznawany za przywódcę amerykańskiego antykomunizmu.

„Byłam oszołomiona tym, co się stało jak nikt inny”, mówi Decter.

„Ponieważ jakkolwiek powtarzałam zwykle, że Związek Sowiecki mimo wszystko nie jest wieczny, ani niezmienny - dlaczego mielibyśmy sądzić że tak jest - nigdy nie przyszłoby mi na myśl, że w tym roku będziemy świadkami jego rozpadu. Mówiliśmy kiedyś, że Stany Zjednoczone powinny zrobić wszystko, w granicach rozsądku, aby pogłębić ten rozpad, ale tak się nie stało. Próbowaliśmy pomóc Rosji w stabilizacji kraju. Taka była amerykańska polityka i to było jeszcze bardziej zaskakujące”.

Paul Hollander, profesor socjologii na Uniwersytecie Massachusetts w Amherst, emigrant węgierski, twierdzi, że to co widział w telewizji przypominało mu Budapeszt z 1956 roku. „To był długo oczekiwany widok. Zaskoczył mnie zwłaszcza fakt jak niewielki wpływ miał ten system na poglądy ludzi, jak nieudana okazała się w rzeczywistości komunistyczna indoktrynacja”.

„Oczywiście jesteśmy wstrząśnięci”, mówi Edith Kurzweil, profesor socjologii na Uniwersytecie Rutgers i naczelny redaktor *Partisan Review*. Uważamy, że nasze teorie sprawdziły się w pewien sposób. To nie znaczy, że spodziewaliśmy się tego co się stało, ale to było wspaniałe. Sądzimy, że to fantastyczne dokonać tak mistrzowskiego posunięcia w ciągu trzech dni”.

Jest to jednak uniesienie połączone z obawą o przyszłość rozpadającego się państwa sowieckiego /które w pewnych kołach nazywano w tych dniach ZMIR: Związek Malejącej Ilości Republik/. „Nie możemy



Czytelnikom, sympatykom
i przyjacielowi miesięcznika
„SOLIDARNOSC WALCZĄCA”
najlepsze życzenia z okazji
zbliżających się świąt

BOŻEGO NARODZENIA

składa

REDAKCJA

przewidzieć co się stanie. Być może kolejny zamach", mówi Kurzweil.

"Wierni, że jest jeszcze wiele trudności do pokonania, możliwe nawet, że dojdzie do rozlewu krwi", stwierdza Decter. "Ale to co się dzieje na razie jest dobre i obserwacja tego, że wszech miar pozytywnego wydarzenia na świecie, jest nadzwyczajnym doświadczeniem".

Panuje ogólne przekonanie, że cokolwiek przyniesie przyszłość, komunizm jako ideologia i zagrożenie międzynarodowe przestał istnieć.

"To już przeszłość. To skończone. Nic już nie pozostało. Komunizm ostatecznie powędrował na śmietnik historii", mówi Alex Alexiev, członek Rand Corp. W Santa Monica, w Kalifornii.

Nawet jeżeli komunizm przetrwa jako credo niektórych zachodnich środowisk akademickich i cyganerii, które kształtują swoje ideologiczne przekonania w oderwaniu od realiów politycznych, to mieszkańcy Europy Wschodniej i Środkowej oraz Związku Sowieckiego, którzy odczuli na własnej skórze rezultaty propagandy marksistowsko - leninowskiej na pewno zdecydowali się go odrzucić. "Gdybym był lewicowcem spalił bym się ze wstydu", mówi jeden z przewodniczących Drugiej Konferencji National Forum Foundation, David Horowitz.

Nawet przywódcy puczu nie wydawali się wierzyć w swoją sprawę. "Myślę, że do pewnego stopnia stracili swoje zaangażowanie", stwierdza Alexiev. "Po to aby odnieść sukces w totalitaryzmie trzeba zabić wielu ludzi. Żądza władzy - jak nazywał to Nietzsche. Ci ludzie nie są już tak pewni siebie i swoich przekonań".

Znaczenie sprawdzenia się teorii tych intelektualistów, którzy walczyli z komunizmem i ich sympatyków jest tym większe, że oni sami byli przez lata wyśmiewani jako zwolennicy zimnej wojny i traktowani jak intelektualni Neandertalczycy. Odkąd George Bernard Shaw, na początku lat 30-tych, wyrzucił torbę kanapek przez okno

pociągu, przed przekroczeniem granicy między Polską a dotkniętym głodem Związkiem Sowieckim na znak poparcia dla programu kolektywizacji Stalina, Zachodni intelektualiści zainteresowali się ideą komunizmu.

Ich entuzjazm osłabł nieco w momencie podpisania paktu Ribbentrop - Mołotow /Hitler - Stalin/, a następnie inwazji na Węgry w 1956 i Czechosłowację w 1968, ale zawsze powracał. W końcu - argumentowali niektórzy - czy Stany Zjednoczone nie robiły takich lub nawet gorszych rzeczy?

Fundacja Arthura Koestlera podejmowała wysiłki w celu zjednoczenia intelektualistów wahających się co do komunizmu na Kongresie Wolności Kultury 18 lipca 1950 roku w Berlinie. Organizacja ta zastrzyła walkę z komunistami na polu intelektualnym, aż do rozwiązania w 1967 roku.

Wielokrotnie wysiłki jej członków zaowocowały dzięki pracy takich intelektualistów jak: Sidney Hook, Dwight MacDonald, Daniel Bell i wielu innych.

Nawet jeśli narastały przykre animozje z lewicującymi intelektualistami na Zachodzie, to satysfakcję przynosiły kontakty z dysydentami ze Wschodu. "Niektórzy Polacy i Czesi często wyrażali zdziwienie, dlaczego jesteśmy tak niepopularni tutaj, skoro u nich cieszyliśmy się wielką popularnością. Mówili, że powinniśmy się przenieść do Pragi lub Warszawy, a byłibyśmy tam lepiej traktowani niż w Nowym Yorku", wspomina Podhoretz.

"Przez lata dysydenci ze Środkowej i Wschodniej Europy kontaktowali się z nami na emigracji", mówi Kurzweil. "Czuliśmy się wtedy trochę jak Freud, bo byliśmy lepiej znani za granicą niż we własnym kraju. Najwidoczniej powielali teksty z *Partizan Review* w podziemnych drukarniach".

Co więcej, Yelena Bonner, wdowa po Andrieju Sacharowie, dziękując Wolnej Rozgłośni za podtrzymywanie antykomunistycznego podziemia w Związku Radzie-

ckim oświadczyła: "Chłopcy podczas tych dni byliście na barykadach razem z nami".

Jest rzeczą nieuniknioną, iż w następstwie upadku komunizmu przestaną istnieć organizacje i publikacje, które powstały w odpowiedzi na wydarzenia lat trzydziestych, czterdziestych i pięćdziesiątych.

W zeszłym roku Organizacja Wolny Świat, wpływowe ramie ruchu walczącego z pojęciem moralnej równości komunizmu i demokracji zachodnich, ogłosiła zwycięstwo i rozwiązała się.

"Przestaliśmy istnieć jako organizacja, ale nasze argumenty i hasła zwyciężyły i przetrwały", wyjaśnia Decter.

W czerwcu został zamknięty brytyjski magazyn *Encounter*, jedno z ostatnich wydawnictw, które powstały po Kongresie Wolności Kultury, a w sierpniu ogłoszono, że ten sam los spotkał rocznik odnotowujący międzynarodowe afery komunistyczne. W tym roku było 25-te, ostatnie wydanie. "Zdajemy sobie sprawę, że nadeszły czasy, w których nasz rocznik przestał być potrzebny, możemy spokojnie zamknąć wydawnictwo, powiedziała Margit Grigory, naczelny redaktor wolumenu wydanego przez Instytut Hoovera /zajmujący się problemami wojny, rewolucji i pokoju/ przy Uniwersytecie Stanford.

Wprawdzie, mówi Beichman, wydaje się, że zagrożenie sowieckie już minęło, ale nadal, - od czasów Rewolucji Francuskiej - intelektualiści zajmują się utopijnymi ideami i totalitaryzm nadal pozostaje zagrożeniem dla wolności osobistej.

"Jak ktokolwiek dzisiaj może być socjalistą?" pyta Beichman.

"Trzeba być szalonym, żeby popierać Fidela Castro. A jednak mit socjalizmu jest ciągle silniejszy niż rzeczywistość kapitalistyczna. Wynika to z faktu, iż kapitalizm przestał być doktryną.

Tak właśnie się dzieje, kiedy ludzie mogą działać na własną rękę".

Przedruk za amerykańskim tygodnikiem *"Insight on the news"*

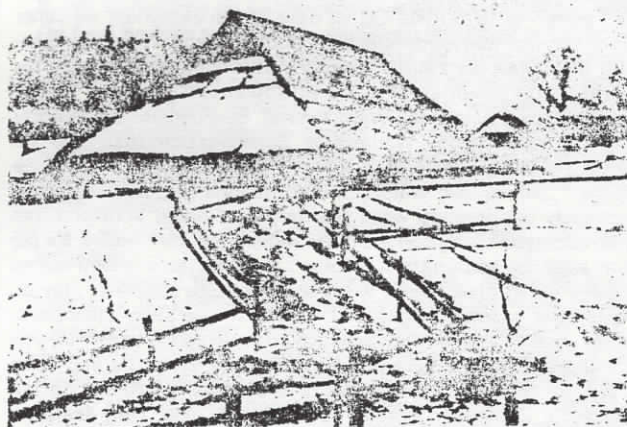


CZY CHŁOPI WALCZYLI Z KOMUNIZMEM?

Dość dokładnie została opisana działalność podziemia antykomunistycznego polskiej inteligencji, robotników, ludzi mieszkających w mieście. Stosunkowo niewiele wiemy o tajnej pracy wsi, szczególnie mało wiemy o podziemiu chłopskim w województwie wrocławskim, a trzeba powiedzieć, że bezpośrednio po stanie wojennym natychmiast został zorganizowany silny ruch oporu.

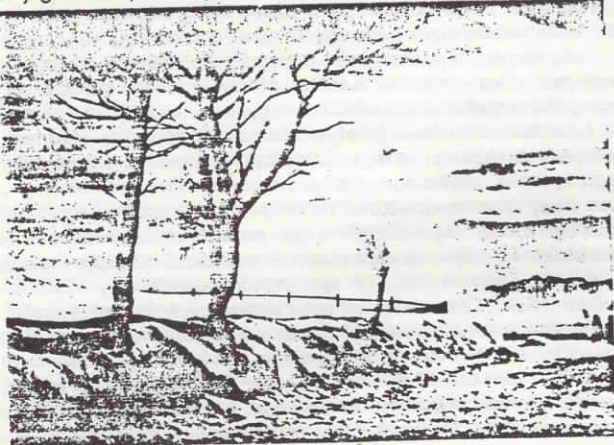
Przejawiał się on w różnej postaci. Pierwszą reakcją wsi na liczne aresztowania działaczy „Solidarności”, internowania, wyrzucania z pracy, nękania przez Służbę Bezpieczeństwa, była pomoc materialna. Wielu rolników przekazywało na ten cel zarówno pieniądze, jak i płody natury chleb, masło, ser, mięso, kielbasę, które tajnymi kanałami były dostarczane ludziom ukrywającym się bądź też siedzącym w więzieniach. Równocześnie rozpoczęła się akcja oporu wobec komunistycznego systemu. Chłopi zwlekali z płaceniem podatków, wszelkich należności, jakie ściągano od nich siłą państwa. Najświatlejsza, najbardziej oddana „Solidarności” i najodważniejsza część społeczności wiejskiej rozpoczęła także podziemną działalność kulturalną i oświatową. Na wsi pojawiły się ulotki, tajne broszury, potem podziemne wydawnictwa, książki, programy polityczne. Niestety, nie wszystkie dokumenty dotrwały do dziś, a czas nieuchronnie wymazuje z pamięci poszczególne epizody różnych akcji i działań chłopskiego podziemia. Żeby czas całkowicie nie zatart przeszłości, postanowiłem wraz z kilkoma oddanymi idei wolnej Polski rolnikami spisać przynajmniej tę część pracy, której świadkowie jeszcze żyją i gotowi są poświadczyć, iż uczestniczyli w działaniach podziemnych. Przygotowując niniejszy szkic zwróciłem się do wszystkich zarządów gminnych **NSZZ RI „Solidarność”** z prośbą, aby uczestnicy ruchu podziemnego w stanie wojennym i w latach osiemdziesiątych udostępnili mi informacje, dane, nazwiska i okoliczności antykomunistycznej działalności chłopów w tym okresie.(...) Z całą pewnością centralne miejsce w ruchu antykomunistycznym zajmuje **Roland Winciorek**, były wiceprzewodniczący **NSZZ RI „Solidarność”** we Wrocławiu. Poznałem go na pierwszej konferencji prasowej, jaką zorganizowała Rada Wojewódzka **NSZZ RI „Solidarność”** we Wrocławiu, bodajże w maju 1981r. (...) Po konferencji Winciorek, a także inni rolnicy działający w **RI „Solidarność”** poprosili mnie o stałą współpracę z solidarnościowym ruchem chłopskim, oferując mi funkcję doradcy. W ten sposób związałem się z **NSZZ RI „Solidarność”** na wiele lat, nie rezygnując także z działalności podziemnej, prowadzonej przez całe lata osiemdziesiąte. Poznałem wówczas wiele wspaniałych, oddanych polskiej wsi, ale przede wszystkim sprawie wolności, suwerenności i niezależności Polski, ludzi mieszkających na wsi, rolników, uczniów, studentów, młodzież chłopską. To oni właśnie w stanie wojennym stawiali bierny opór władzy komunistycznej, a także roznosili ulotki i wspomagali działalność podziemną „Solidarności” pracowniczej. Trzeba jednak powiedzieć, że opozycja antykomunistyczna wrocławskiej wsi sięga znacznie wcześniejszego okresu niż lata osiemdziesiąte. Oto, co pisze w „Oświadczeniu” złożonym mi w dniu 5 lipca 1991 roku Roland Winciorek: „Chłopska opozycja na wsi zaczęła występować w skromnej postaci już od roku 1976. Wielki wpływ na to miał studencki ruch niepodległościowy. W ruchu tym brali również udział synowie chłopscy, tak było na politechnice Wrocławskiej, tak było na Uniwersytecie Wrocławskim i innych uczelniach. Nasi synowie przywozili nam z miasta najnowsze wiadomości, dokumenty, ulotki, tzw. «wywrotowe» broszury. Chłopi mieli więc informacje z pierwszej ręki. Powoli zaczął się tworzyć studencko-chłopski ruch solidarnościowy. Rodzice potajemnie wspierali swoje dzieci, często mówiąc im o Polsce przedwojennej, podtrzymując w domu atmosferę wolności i niepodległości. Nie mogło to być bez wpływu na ich postawy. Dużą rolę odegrała instytucja «Uniwersytetu Latającego», którego przedstawiciele wygłaszali w naszej wsi prelekcje i udostępniali liczne broszury dla swoich słuchaczy. Z pierwszymi działaniami spotkałem się w swojej gminie, we wsi Pęgów-Goleźdźców. Były to spotkania organizowane przez Kornela Morawieckiego, wspierane przez mój dom we wsi Wilczyn, gdzie głównie, przy współudziale mojego syna, Wojtka, rozpoczęto tworzenie pier-

wszych struktur późniejszych organizacji podziemnych. W roku 1979 podziemni działacze polityczni, na czele z Kornelem Morawieckim, rozpoczęli wydawanie pisma «Biuletyn Dolnośląski». I trzeba powiedzieć, że gazeta ta miała wielki wpływ także na naszą, wrocławską wieś, ponieważ nielegalne pismo było podawane z rąk do rąk i przechodziło przez wiele wsi. Właśnie numer drugi «Biuletynu Dolnośląskiego», wydany przez działaczy Politechniki Wrocławskiej, pod kierownictwem Kornela Morawieckiego, cieszył się szczególną popularnością wśród zaufanych chłopów”. Tutaj wróćmy, że w domu Winciorka trwały prace nad „Biuletynem” i jednym z pierwszych kolporterów tego pisma był nie kto inny, a Winciorek i jego synowie. „Powstanie «Solidarności» w sierpniu 1980 roku - pisze dalej Winciorek - stało się hasłem do organizowania niezależnego ruchu związkowego na wsi i pierwsze koła powstały już w październiku 1980r. (A więc znacznie wcześniej niż gdzie indziej w regionie - przypis St.S.). W ten sposób powołał się **NSZZ RI „Solidarność”** na podstawie własnej deklaracji, której tekst został potem złożony w Biurze **NSZZ RI «S»** we Wrocławiu przy ul. Mazowieckiej. Niestety działalność związku była krótka, bo zaledwie od kwietnia 1981r. do 13 grudnia 1981 roku. Stan wojenny był wielką tragedią dla wsi i dla ruchu chłopskiego. (...) Poczęliśmy się spotykać, organizować tajne struktury, przekazywać sobie informacje, co się rzeczywiście dzieje, co mamy dalej czynić. Zanim jednak, doszło do spotkań w domach chłopskich, pierwsze kroki skierowaliśmy do naszego doradcy, Stanisława Srokowskiego...” Tutaj przerwę na moment. Mieszkam wówczas we Wrocławiu przy ul. Rowerowej, na 10 piętrze. Dwupokojowe mieszkanie zajmowałem ze swoją żoną, Marią. Do stanu wojennego gościliśmy dość często ludzi ze wsi, związanych z „Solidarnością”, najczęściej przebywał u nas Roland Winciorek, bywał także Wiesław Włusek, Andrzej Urzulak, Stanisław Helski, Zbigniew Lech i inni. Nie zdziwiłem się, gdy mnie odwiedzili w pierwszych dniach stanu wojennego moi chłopscy przyjaciele. (...) Rozmawialiśmy, jak zachować stan umysłów sprzed narzuconej wojny. Winciorek pragnął usłyszeć, jakie mam stanowisko w tej sprawie. Powiedziałem, że musimy się spotkać w szerszym gronie, w wyznaczonej przez chłopską organizację solidarnościową miejscu. Winciorek uzgodnił z innymi działaczami czas i miejsce spotkania. Powiadomił mnie, że us-



talono, iż najlepiej będzie, gdy się to stanie na początku nowego roku, w moim domu. Tak też się stało. Pod datą 6 II 1982 zanotowałem w dzienniku: „W rodzinie sporo problemów. Przybyli do mnie krewni. Najlepiej trzyma się wujek. Innym też nie brakuje wiary w przezwyciężenie kłopotów, lecz zauważyłem też pierwsze oznaki niepewności i bezradności”. O co chodziło? Otóż 6 lutego 1982 roku odwiedzili mnie Roland Winciorek i Wiesław Włusek, przyszedł też ktoś trzeci, którego nazwiska nie pamiętam. Ustaliliśmy, że należy prowadzić dalszą podziemną działalność, a przynajmniej we wstępnej fazie stanu wojennego odwiedzać siebie wzajemnie, podtrzymując się na duchu. (...) Moja sytuacja zawodowa pozwalała mi na dowolne dysponowanie czasem, ponieważ tygodnik „Wia-

domości" został zawieszony, a potem, jako jedyne pismo we Wrocławiu, zlikwidowany. (...) Weryfikacja kadr dziennikarskich wyrzuciła mnie na bruk. Przez niemal półtora roku, do połowy 1983, dysponowałem własnym czasem. Mogłem więc bez przeszkód poświęcić go moim chłopskim przyjaciołom. Dodam tutaj, że sytuacja materialna mojej rodziny wówczas nie była dobra. Opiekowałem się starymi rodzicami, którzy żyli z nędznej emerytury. I wtedy właśnie zadziałała prawdziwa SOLIDARNOŚĆ ludzka. Wielu chłopskich przyjaciół w najtrudniejszych chwilach dostarczało do mojego domu produkty niezbędne do życia. Roland Winciorek tak



pisze dalej w swoim „Oświadczeniu”:

„W domu Stanisława Srokowskiego ustalono, że najlepszą formą działania podziemnego w stanie wojennym będzie forma organizacyjna na wzór działalności z okresu AK pod okupacją, jako konieczność. Działalnością tą należy objąć działaczy wsi, wyłączając ZSL, gdyż zeteszłowcy związali się trójprzymierzem z PZPR i SD”. (...) W tej sytuacji, gdy wieś dokładnie była penetrowana przez służby SB-ckie, główny trzon działaczy antykomunistycznych postanowił spotykać się przez jakiś czas przy ul. Rowerowej we Wrocławiu. Trzeba też dodać, że część ludzi z zarządów i rady wojewódzkiej „Solidarności” RI wyłączyła się z pracy nielegalnej, niektórzy członkowie i przywódcy wyjechali za granicę. Roland Winciorek uznał, że na nim spoczywa główny obowiązek budowania tajnych związków na wsi. Ustalane przy ul. Rowerowej decyzje przekształciły się w czyn w wielu wsiach. (...)

Na osobny rozdział zasługuje wpływ Kornela Morawieckiego na stan umysłów chłopskich. Winciorek poznał Morawieckiego - jak sam pisze - w 1976 roku. Od tej daty na wsi zaczynają się coraz silniej aktywizować tendencje ruchu podziemnego. W stanie wojennym umacniają się związki rodziny Winciorka z podziemnym ruchem antykomunistycznym, budowanym głównie siłami pracowników Politechniki Wrocławskiej. Szczególną rolę odegrał tutaj Instytut Socjologii. Wydawanie „Biuletynu Dolnośląskiego” na trwałe związało Winciorka z ruchem podziemnym. A następne pisma - „Solidarność Walcząca” i liczne inne gazетки podziemne podniosły temperaturę walki podziemnej. Roland Winciorek nie tylko udostępnił swój dom na prace redakcyjne, techniczne, ale też sam zajął się kolportażem „bibuły”, organizując w moim domu główny punkt przerzutowy w tej części miasta (najpierw przy ul. Rowerowej, a potem Legnickiej). Przyniósł całe stosy czasopism, ulotek, a także książek podziemnych i stąd docierały one do innych czytelników. Zwykle były podrzucane do skrzynek na listy, pod drzwi, do wind, a także dostarczane zaufanym ludziom do rąk własnych. Z biegiem czasu musiałem wydzielić całą szafę na materiały przynieszone przez Winciorka. Osobnego zapisu wymaga ochrona techniczna sprzętu drukarskiego, który znajdował się w domu Winciorków. Przyjeżdżał tam czasem Morawiecki, czasem drukarze, w obejściu znajdowały się też powielacze, które po robocie chowano w lesie lub na poddaszu obory. Papier zwykle organizował Roland W. lub jego syn Wojtek W. Farbę przywozili chłopcy z miasta. Regularny kolportaż prasy podziemnej trwał bez przerwy aż do końca 1989 roku, gdy jeszcze Morawiecki się ukrywał. Kornela zresztą poznałem osobiście w trakcie jego działalności podziemnej. (...) Poza Dolnym Śląskiem prasa tutejsza docierała do gmin w Rogowie, Stupii, Kuluszkach i Jeżowie, dokąd dostarczali jej chłopci dolnośląscy. Ronald Winciorek tak pisze o

ruchu podziemnym: „Ruch podziemny koncentrował się w województwie wrocławskim we wsi Wilczyn. W innych wsiach gazetki rozprowadzali ludzie godni zaufania, zajmowali się kolportażem i nie było żadnej wyspy. Nie było wśród nich W. Włuska, który zrezygnował z działalności solidarnościowej dość szybko. Przychylni i świadomi chłopcy garnęli się do tej działalności. W praktyce, będąc w tajnej organizacji, stawiali na pierwszym miejscu hasło: „Bóg, Honor i Ojczyzna” i widząc przychylność Kościoła, zawierzili swojej tajnej organizacji. Wiele zawdzięczaam życzliwym i oddanym sprawie przyjaciołom z wielu wsi”. Tak rzeczywiście, w wielu wsiach czekano na podziemną literaturę. Miasto chlubiło się silnym ruchem antykomunistycznym, lecz nie zawsze wiedziało, co się dzieje na wsi. A tam trwała mroźna, ciężka i wieloletnia praca. I można z perspektywy czasu powiedzieć o odwadze i samozaparcu wielu rolników, którzy nie patrząc na grożące im niebezpieczeństwo, spotykali się na tajnych zebraniach i przekazywali sobie najnowsze numery gazet. Można wymienić takie wsie i takich ludzi jak: gminę Długoleka, Pasikurówce, gdzie włączył się do pracy sołtys Jan Jasiński, we wsi Siedlec Trzebnicki - Tyczyński, w Skarżynie - Zygmunt Barszcz, w Księgnicy - Alfons Woźniak, w Żmigrodzie - Kazimierz Denderys i Henryk Chorzepa, a także Tadeusz Doczumiński, w gminie Dobroszyce - Andrzej Urszulak i p. Bromke, obaj dając bardzo wiele z siebie, w gminie Oborniki - we wsi Gołędzinów - Stanisław Kita oraz Karol Żukrowski, we wsi Kotowice - Władysław Konieczny, w Kruszkowie - Katarzyna Kiplisz, w gminie Wisznia Mała - Stanisław Wilczopolski, w Przestawicach (gm. Oborniki) - Józef Dziedzic, we wsi Borkowice - Henryk Bartosiewicz i A. Janisiów, we wsi Droszów (gm. Trzebnica) - Feliks Sadło i jego brat, w gminie Żurawina kilku rolników, których nazwiska trudno z notatek odczytać, a ze wsi Stary Śleszów - Jan Świder, bezgranicznie oddany sprawom wolności chłopcy i polskiej wsi. To tylko niektóre nazwiska ludzi nieulegających. (...) Podziemna prasa, ulotki, książki, to jeden wielki nurt działania polskiej wsi. Drugi, to radio.

Wieś wrocławska słuchała podziemnego radia. Zresztą, nie tylko słuchała, ale brała czynny udział w organizacji sprzętu, przygotowaniu technicznym i nadawaniu audycji. Tak właśnie się działo we wsi Wilczyn, gdzie znowu niezawodnym konspiratorem okazała się rodzina Rolanda Winciorka. Radiostacje, ze względu na swój tajny charakter i możliwość wykrycia, szybko zmieniały miejsce nadawania. Jednym z takich miejsc było niewielkie wzniesienie za domem R. Winciorka. Rosną tam trzy ogromne lipy. W ich konarach, na samym szczycie, można było zamontować urządzenia techniczne radiostacji, warunki były znakomite. Przyjechali radiotechnicy z Wrocławia i przygotowali aparaturę do pracy, bezpośrednio nadawanie odbywało się w zabudowaniach gospodarza. Roland Winciorek i jego synowie brali udział w montowaniu anten i pilnowali urządzeń przed obcymi. Radiostacja nadawała swoje podziemne programy z przerwami. Trwało to do 1984 roku. Pewnego jednak razu specjalne służby wojskowe namierzyły zakres nadawanych audycji i okazało się, że aparatura wojskowa i SB-cka wskazała teren, na którym zamieszkiwał Winciorek. Na szczęście dla konspiratorów, na tym terenie, nieco za lasem, znajdowała się jednostka wojskowa, która posiadała własną radiostację. I pod budynki tej właśnie, wojskowej radiostacji zajęte były wojskowe samochody z wykrywaczami urządzeń radiowych, sądząc, że stąd się właśnie nadaje tajne komunikaty i „solidarnościowe” audycje radiowe. W tej wojskowej bazie był pewien sierżant o ile mi wiadomo, Stanisław Ochał, który często odwiedzał wieś Wilczyn, przyjeżdżając tutaj po zakupy lub w celu pożyczania jakiegoś rolniczego urządzenia do prac polowych. Znał również Rolanda Winciorka. I on właśnie tego dnia, gdy kawalkada samochodów poszukiwała tajnej radiostacji, szybko przyjechał do wsi i ostrzegł Winciorka, że wojsko namierzyło radiostację i byłoby dobrze dać do zrozumienia by ci, co nadają, zwinęli sprzęt. Pewnie domyślał się, że Winciorek coś na ten temat wie. Obsługa radiostacji, która jeszcze przed chwilą nadawała solidarnościowy program, rozmontowała urządzenia i zabezpieczyła sprzęt. W ten sposób doszło do nieoczekiwanej zupełnie współpracy polskiego żołnierza z polskim chłopem. Przy okazji warto wspomnieć i o tym, że w okresie stanu wojennego i później, ludzie z podziemia, działający na wsi, podrzucali wojskowym ulotki, tajne broszury, książki. Istniała milcząca współpraca. Tajna radiostacja została wtedy uratowana. Nadawała ona swoje programy do 1984 roku, a potem przeniosła się do

Wrocławiu. Programów podziemnych słuchali i dzięki temu wzmacniali się swojego ducha, nie rezygnując z walki antyreżimowej.

Największą jednak rolę w podtrzymywaniu na duchu polskiej wsi miał Kościół. To właśnie w kościołach trwała nieustanna duchowa praca tysięcy duszpasterzy, którzy budowali w ludziach moc psychiczną, wiarę w wolność, miłość i solidarność. To właśnie w kościołach najczęściej spotykała się społeczność wiejska, by słuchać wolnościowych kazań swych przewodników duchowych. Każdego roku, w pierwszych dniach września, parafialne grupy chłopów wyjeżdżały autokarami do Częstochowy, gdzie następowały tajne spotkania przywódców „Solidarności” wiejskiej. Roland Winciorek zabierał z sobą na te coroczne spotkania setki egzemplarzy najnowszej podziemnej prasy i rozdawał je pielgrzymom, a tamci przekazywali dalej. W ten sposób „Biuletyn Dolnośląski”, „Solidarność Walcząca”, „Obecność” i inne wrocławskie wydawnictwa trafiały do rąk czytelników ze wsi z całego kraju. Kościół zorganizował również kolejne rocznice rejestracji chłopskiej „Solidarności” i odbywały się poświęcone tej dacie uroczyste msze św., w

których masowo uczestniczyli rolnicy i przyjaciele ruchu. Odbywały się one m.in. w Obornikach Śl., w Trzebnicy, w Piotrowiczach, w Krynicy i we Wrocławiu. Rolnicy zamawiali również msze św. w intencji wolnej Ojczyzny. Braliśmy udział w takich mszach we Wrocławiu, w Trzebnicy, w Żmigrodzie czy Lubniewie. Osobnego i szczegółowego omówienia wymagają pielgrzymki chłopskie zorganizowane z okazji przyjazdu Jana Pawła II do Polski. Chłopi brali w nich widoczny udział.

Niewątpliwie to tylko zarys mapy, na której można by znaleźć wiele innych linii tajnej i podziemnej działalności chłopów w stanie wojennym w latach osiemdziesiątych. Z pewnością z biegiem czasu dojdą nowe fakty, które przypomną ludzi ze wsi. Może odnajdą się też dokumenty, ulotki, listy i inne dowody na podziemną działalność chłopską. Liczę na wzbogacenie pierwszego opracowania tego problemu. Kończąc ten szkic, zachęcam Czytelników do uzupełnienia, uwag i osobistej refleksji.

Stanisław SROKOWSKI

ROSYJSKA DZIURA

Ofiarowując narodowi pierestrojkę i jawność, Gorbaczow był przekonany, iż dał wszystko, czego ludzie potrzebują. Okazało się jednak (choćby w świetle konsekwencji politycznych nieudanego puczu), że to było za mało, a na domiar złego sam Gorbaczow mylił się tak w ocenie nastrojów społecznych, jak w ocenie postawy najbliższych sobie elit politycznych. Nieuwzględniana przez niego rzeczywistość, niczym rzeka podziemna, wydrążyła prawo do własnych rozwiązań. Zachwycony wydarzeniami z sierpnia świat nie zauważył nawet, że jest to po prostu prawo do rewolucji. Ma ona jednak inny przebieg. Zmiany w dekoracjach są zresztą widoczne: Rosja nie marzy już (na jak długo) o bohaterach, ale po prostu o zwykłym dobrobycie. Nie ścina się głów lecz grzebie z szacunkiem nielicznych męczenników. Zamiast golenia bród, zwala się pomniki brodaczy. Ci zaś, którzy na podobieństwo Denikina czy Wrangla mogliby tworzyć kontrrewolucyjne zagony, w cichoci własnych gabinetów lub mieszkań, popielniają samobójstwa. Rosja wreszcie głosi nie wojnę, lecz pokój, nie zniszczenie świata, lecz chęć współistnienia w nim. Chłopi być może dostaną ziemię, a robotnicy fabryki... Inteligencja stanie na czele państwa bez kompleksu pochodzenia społecznego mierzonego zwykle ilością odcisków na palcach dłoni. I jest to - jak można sądzić - punkt wyjścia rosyjskiej rewolucji Anno Domini 1991. Lecz pomiędzy punktem wyjścia z osiągnięciem celu (jeżeli rewolucyjne ideały w ogóle są osiągalne) istnieje styczna rosyjska dziura, niedorozwój społeczny, w którym od czasów Piotra Wielkiego, przepadły bez wieści wszelkie próby jakiegokolwiek reform. Więc nie chodzi ani o dekoracje, ani o treść sloganów wyszytych na sztandarach, ale o to jak wypełnić dziurę. Z tym, że już pojęcie „wypełnienia” nie należy do świata frazeologii rewolucyjnej - wymaga bowiem cierpliwości i wiary w sens małych kroków. Rewolucjonistom wydaje się po prostu, że dziurę da się przeskoczyć. I to jest być może największy problem Rosji, przyczyna sprawcza tego, że marzenia w tym wielkim kraju natychmiast zamieniają się w dramat. Ulegając złudzeniu wielkiego skoku, rewolucjoniści zapominają bowiem, że w przestrzeni, między punktem wyjścia

a celem, istnieją napięcia, które - jeżeli nie ulegną neutralizacji - roztrząskują każdy układ społeczny. Na Zachodzie czynnikiem równowagi, a zarazem zwornikiem demokracji, jest warstwa średnia, mieszczaństwo, które poprzez elastyczność i zdolność przyswajania zmian - jest gwarantem ciągłości demokracji i motorem napędzającym system... Rosyjska dziura jest zatem nieobecnością mieszczaństwa z jego kulturą i tradycją. Rewolucja może zmienić sposób myślenia, niewolników przepoczwarzy w ludzi wolnych, ale nie jest w stanie przekształcić metod działania. Albowiem metody, konkretne zachowanie wobec problemów



społecznych, w których odnajdujemy cechy cywilizacyjnej ciągłości, biorą się z tradycji i wynikającej z niej kultury, które to cnoty same w sobie nie mają nic wspólnego z wszelkiego rodzaju rewolucyjnością. Na tej zasadzie, obserwując wydarzenia w Rosji, możemy odnotować (w sferze hasel) wszystkie najlepsze zdobycze cywilizacji zachodniej, ale czy w najmniejszym choćby stopniu Zachód jest udziałem samych Rosjan w ich dniu powszednim. Nie, znowu dziura, a w niej widok niezmiernie przestraszonej rosyjskiej tandety. Jeżeli rzeczywistość życia społeczne Sowietów wyznacza tandeta, a wszystko wskazuje na to, że tak jest, to pytanie zasadnicze dotyczy tego, kto w istocie ma wyprowadzić lud radziecki do form wyższych, przeciwko miernocie. Chłopi z kołchozów? Robotnicy z fabryk, które w większości muszą zbankrutować? Biurokraci? Może wojsko? Albo KGB? Więc wydaje się, że z wszystkich grup, jedną przygotowaną do zarządzania w warunkach wolnego rynku, jest podziemna mafia gospodarcza, która jednakowoż, mając zdolność do funkcjonowania w każdych okolicznościach, nie potrafi jednego - wytwarzać produktów i dzielić się zyskami. Zatem znowu dziura. Na domiar złego, nie

mając oparcia politycznego ani w mieszczaństwie, ani w jakimkolwiek innym środowisku, które potrafiłoby przeciwdziałać miernocie. Każda władza w Sowietach, próbując rozwiązać „kwestię społeczną” będzie musiała dążyć albo do poparcia wojska, które po prostu zaprowadzi koszarowy porządek, albo najniższych warstw, które stanowią rdzeń tejże „kwestii” do biedoty, której ostatnią właściwością, podobnie jak u wojska jest zdolność do myślenia społecznego w szerszych kategoriach niż własny interes. Sięgnięcie po sympatię „ludu” wydaje się w Sowietach tym bardziej prawdopodobne, iż jest zgodne z tradycją i kulturą rosyjską, która właśnie w masach ludowych upatrywała znamiona ciągłości i przenikającej rzeczywistości, mądrości. Poza tym daje wrażenie rozwiązania problemów społecznych „jednym skokiem” skokiem przez dziurę. Nie wiadomo tylko, która z form dyktatury jest bardziej sroga - dyktatura wojska czy ludu. Ale i tutaj Rosjanie mają receptę. Ich słynne powiedzenie mówi nam „pożyjemy, zobaczymy”. Samym ludziom radzieckim wydaje się co prawda, że obalając wojsko i KGB usunęli ostatnią kłódę, która dzieli ich od rajów, lecz może okazać się, iż główną przeszkodą nie byli generałowie, ale sami ludzie radzieccy we wszystkich swoich odmianach, od dobroduszników babuszek, po lokalnych satrapów. Dlaczego? Dlatego, że w swojej przysłowiowej prostocie i dobroduszości mogą po prostu nie rozumieć, na czym w istocie zmiany mają polegać. Niewiadoma ta prowadzi z kolei do zanegowania sensu zmian w ogóle. Póki co furkoczą w powietrzu sztandary, wypowiedane są wielkie słowa. Mają one i na jakiś czas zastąpić autentyczną refleksję nad kondycją rosyjskiej duszy. Poszerzając się sfera wolności nie ujętej w formy nowoczesnego państwa, nie ujętej w żadne formy, z czasem będzie kojarzyć się z chaosem, będzie wręcz wytwarzać chaos. Widmo rozpadu pchnie przywódców do dyktatury... Albowiem tylko ona w ich oczach zapewni w tych warunkach sprawiedliwość społeczną, a zatem spełni stawiane na początku cele.

Koło się zamyka.

Krzysztof GULBINOWICZ

Szanowny Pan
Vytautas Landsbergis
Prezydent Litwy

Szanowny Panie Prezydencie!

Zwracamy się do Pana pragnąc przestać wyrażać przyjaźni i solidarności Panu osobiście i całemu Narodowi Litewskiemu. Chcielibyśmy przeprosić za arogancki gest, jaki spotkał Pana 17 listopada ze strony prezydenta Wałęsy. Nie po raz pierwszy, niestety, przychodzi nam wstydzić się za obecnego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Zapewniamy, że zaprezentowane przezeń grubiaństwo i polityczna ślepota są nam obce. My - przesyłamy Panu znak pokoju.

W początkach tego roku, gdy tłumy Litwinów sprawowały obywatelską wartość zastawiając własnymi ciałami Parlament w Wilnie, towarzyszyliśmy im codziennymi demonstracjami na ulicach Wrocławia, Poznania, Krakowa i innych polskich miast. Domagaliśmy się wolności dla Pańskiego Kraju i zaprzestania sowieckiej agresji. Od naszych władz żądaliśmy, by Polska bezzwłocznie i jako pierwsza nawiązała pełne stosunki dyplomatyczne z Litwą. Uważaliśmy, że dopomogłoby to Wam w trudnej drodze do wyzwolenia spod sowieckiej okupacji. Na petycjach w tej sprawie zebraliśmy tysiące podpisów. Niestety, zwyciężyła „ostrożność”.

Zapewniamy, Panie Prezydencie, że Litwa ma w nas wiernych przyjaciół. Z satysfakcją i nadzieją patrzymy na odradzającą się litewską niepodległość, z niepokojem przyjmujemy wszelkie gesty i działania mogące poróżnić nasze narody, wszystko, co zakłóca dobrosąsiedzką relację naszych krajów.

Z poważaniem i uszanowaniem

Solidarność Walcząca i Partia Wolność
Przewodniczący Kornel Morawiecki

Polska, 22 listopada 1991 r.

APEL

Solidarności Walczącej
i Partii Wolności

W dziesiątą rocznicę stanu wojennego oddajemy hołd ofiarom i żądamy ukarania winnych. Zbrodnie i przestępstwa popełnione na narodzie i obywatelach polskich w związku z wprowadzaniem i utrwalaniem systemu komunistycznego muszą zostać osądzone.

Od Sejmu I kadencji pilnie domagamy się ustawy zakazującej przedawnienia tych przestępstw. Bo nie można i nie da się budować wolnej Polski bez sprawiedliwości, bez moralnego i prawnego zadośćuczynienia pokrzywdzonym.

Prosimy o poparcie niniejszego Apelu.

13.XII. 1991 r.

POPRAWKI DO REJESTRU

Od wszystkich historyków wymaga się postępowania badawczego, na gruncie metodologii, krytyki źródeł, znajomości literatury, co wyklucza m.in. powielanie błędnych a dawno zweryfikowanych informacji itp.

Z tych i innych powodów do publikacji Wielkopolska Konspiracja 1945-1956, „Głos Wielkopolski” z 19/20 października s.23, można odnieść się niestety krytycznie.

Łączna ilość - trzeba tę materię wyraźnie rozdzielić - antykomunistycznych oddziałów zbrojnych, organizacji i stowarzyszeń w Wielkopolsce, była od dawna przedmiotem sporów.

Np. liczbę grup leśnych w latach 1945 - 1947 szacowano na: od 17-18 do 93. Minimalna liczba oddziałów leśnych na pewno nie ma uzasadnienia, gdyż już w lutym 1947 roku dowódca Poznańskiego Okręgu Wojskowego gen. dyw. Wsiewołod Strażewski /jako poseł w Sejmie PRL nosił imię Witold/ informował o 19 „zlikwidowanych” oddziałach i pojawieniu się już w tym czasie nowych „band”. Maksymalna liczba oddziałów podziemnych także musi być zredukowana, jeśli posłużymy się elementarnymi instrumentami krytyki.

W świetle pozyskanych dotąd informacji, do 1975 roku istniało w Wielkopolsce 211 różnych grup zbrojnych, organizacji i stowarzyszeń o profilu antykomunistycznym/ w całym kraju tylko np. w 1946 roku, istniało 1.064 podobnych struktur/.

Klucz, według którego autorzy publikacji sporządzili Rejestr, nie jest jasny i zgodny z logiką, np. nie wymieniono z nazwy nawet dużych ugrupowań leśnych, za to wliczono niektóre pododdziały tych formacji, sugerując ich samodzielność organizacyjną i polityczną. Np. istniał 120 osobowy oddział pod nazwą „Oddział Zmotoryzowany AK”, pod dowództwem Jana Kępińskiego, w składzie: pluton „Błyska”, pluton „Alego” i

pluton „Grupa Operacyjna”. W Rejestrze figuruje „Błysk”/poz. 24/.

W Rejestrze występuje np. „Korona” /poz. 56/, zamiast „Narodowa Armia Krajowa” /z plutonami „Groźnego” - Eugeniusza Kowalskiego, „Orla” - Stanisława Budy i „Korony”



- Stanisława Bajewicza/. Brak także m.in. bitnego oddziału „Spaleniaka”, z którym ściśle współpracowała „Narodowa Armia Krajowa”. A przecież, dowódcy tej grupy m.in. S. Spaleniak i E. Wałęsa, w czerwcu 1946 roku zostali skazani na karę śmierci w publicznym procesie pokazowym. „Wielkopolska Samodzielna Grupa Ochotnicza - „Warta”, licząca 6 tys. bojowników, zorganizowanych w liczne oddziały, jest wykazana /poz. 126/, tak jak niektóre pododdziały wchodzące organizacyjnie w skład „Warty”. Nie ma śladu „Polskiego Związku Wojskowego - „Maria”. Brak pokrowskiego samodzielnego w dużym stopniu oddziału występującego pod nazwą „Narodowe Siły Zbrojne” i innych grup zbrojnych, które występują w istniejących aktach procesowych. Dokumenty sądowe miały być głównym źródłem Rejestru!

Z tych powodów, zdumiewa wręcz, pominięcie w Rejestrze bardzo bitnych i w

dużym stopniu samodzielnych oddziałów WIN oraz orientacji narodowej, które w żadnym razie nie mogą być traktowane jako grupy „na użytek UBP”. Np. oddziały: „Kościuszki” - Mariana Rączki, „Akcja Katolicka” itp.

Figuruje w Rejestrze natomiast „Pogotowie Akcji Specjalnej” /oddział dowodzony przez „Rysia” - Antoniego Fryszkowskiego/ i ...oddział „Rysia”/ poz. 93 i 106/.

Czasem autorzy Rejestru popełnili błędy równocześnie. Np. „Zemsta Lasu” /poz. 130/ istniała w Liceum Leśnym w Goraju i składała się z kilku nie wymienionych w Rejestrze wielkopolskich grup zbrojnych, np. „Falanga”. W Liceum Ogólnokształcącym istniała inna organizacja. Oddział „Typeledo” /poz. 120/, nosił w istocie nazwę „Armia Krajowa” a dowodzony był przez „Typeledo” - Mariana Desendę. Nie działał na terenie Wielkopolski. Podobnie: „Drzymała I”, „Drzymała II”, „Kuba”, „Zapora”, „Kot” /poz. 52/, „Szatan” i „Wilk” /poz. 124/, stanowiły w istocie ten sam oddział leśny. „Kuba” - Antoni Chowański poległ 15 marca 1950 roku, podczas oblawy we wsi Kurek pow. Sieradz. Był ostatnim dowódcą tej grupy.

Przytaczam tylko błędy uchwytne „gotym okiem”. Na badaniach problematyki walki formacji antykomunistycznych z reżimem, ciążyą stare nawyki „szkoły historycznej PRL”. W celu odwrócenia istniejących proporcji, potrzebne są nowe interpretacje w nowych syntezach i nowe gruntowne badania, oparte na całej wiedzy o okupacyjnej przeszłości Rzeczypospolitej w latach 1945 - 1989.

Jerzy MARCICKIEWICZ

Instytut Badań Zbrodni Radzieckich
na Narodzie i Państwie Polskim.

„Głos Wielkopolski” odmówił zamieszczenia powyższego artykułu/

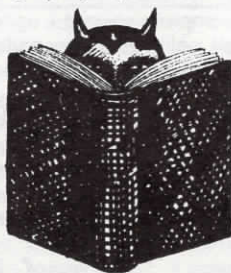
PARTIA WOLNOŚCI- WYBORY DO SEJMU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Dnia 27 października 1991r. odbyły się wybory do Sejmu i Senatu Rzeczypospolitej Polskiej.

Wybrano 460 posłów, w tym 391 spośród 6980 kandydatów wybieranych z okręgowych list kandydatów na posłów w 37 okręgach wyborczych oraz 69 posłów z ogólnopolskich list kandydatów na posłów. Wybrano również 100 senatorów spośród 612 kandydatów.

Wybory przeprowadziła Państwowa Komisja Wyborcza, 37 okręgowych komisji wyborczych i 22 341 obwodowych komisji wyborczych.

W skład komisji wyborczych powołano 197 389 wyborców.



Liczba uprawnionych do głosowania wyniosła 27 516 166 osób. W głosowaniu wzięło udział (oddano głosów ważnych i nieważnych) 11 887 949 osób; frekwencja wyborcza wyniosła 43,20%. Głosów ważnych (w głosowaniu na kandydatów na posłów - bo te nas szczególnie interesują) oddano 11 218 602, co stanowi 94,37% ogólnej liczby głosów. Głosów nieważnych oddano 669 347, co stanowi 5,63% ogólnej liczby głosów.

Listy z kandydatami na posłów Partii Wolności zarejestrowane zostały w 24 okręgach wyborczych. W sumie na nasze listy oddano 78 704 ważne głosy co stanowi 0,701 549 088 % ogólnej liczby głosów (suma głosów oddanych na wszystkie listy Partii Wolności, podzielona przez liczbę głosów ważnych oddanych na wszystkie listy okręgowe, x 100)

Obok przedstawiamy tabelaryczne zestawienie wyników

nr okręgu	województwo	liczba głosów	% głosów w okręgu
1	m. stoł. Warszawa	3520	0,49
3	łódzkie	1743	0,78
4	łódzkie	3866	1,02
6	konińskie, sieradzkie	2843	1,29
7	radomskie	1661	0,87
8	kieleckie	1831	0,59
10	opolskie	1992	0,70
11	wrocławskie	9491	2,62
12	wałbrzyskie	5463	2,70
13	jeleniogórskie, legnickie	4577	1,73
14	zielenogórskie, leszczyńskie	3225	1,15
15	kaliskie	2810	1,36
18	poznańskie	6949	1,63
19	gorzowskie, pilskie	4780	1,85
20	szczecińskie	2971	1,05
22	gdańskie	2854	0,58
25	białostockie, suwalskie	1720	0,53
29	rzeszowskie, tarnobrzeskie	4673	1,18
30	krośnieńskie, przemyskie	1809	0,66
31	tarnowskie	1320	0,60
33	krakowskie	1759	0,42
34	bielskie	2154	0,72
35	katowickie (część) — Sosnowiec	2635	0,87
36	katowickie (część) — Katowice	2058	0,45
	ogółem	78 704	0,701

WYBORY, WYBORY ...

Dwa lata po Okrągłym Stole odbyły się wreszcie wolne wybory do parlamentu. Dla porównania warto przypomnieć, że wybory do Sejmu miały miejsce w dwa i pół miesiąca po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, a uchwalenie konstytucji nastąpiło w ponad dwa lata później. Nie mieliśmy wtedy armii, administracji granic, zaś nasze państwo toczyło wojny z dwoma sąsiadami. Ślamazarnie tempo i połowiczność naszych reform nasuwają raczej niewesołe refleksje.

W kampanii tej - podobnie jak w poprzedniej prezydenckiej nie odbyło się bez afer związanych z działalnością Państwowej Komisji Wyborczej. Wyeliminowanie większości list Partii X nastąpiło w niejasnych okolicznościach. Nasuwa się pytanie dlaczego podpisy złożone tylko przez tę partię zostały poddane sprawdzeniu.

Kampania wyborcza toczyła się głównie w telewizji, na prowincji propaganda plakatu była mizerna, spotkań przedwyborczych niewiele i cieszyły się one niewielkim

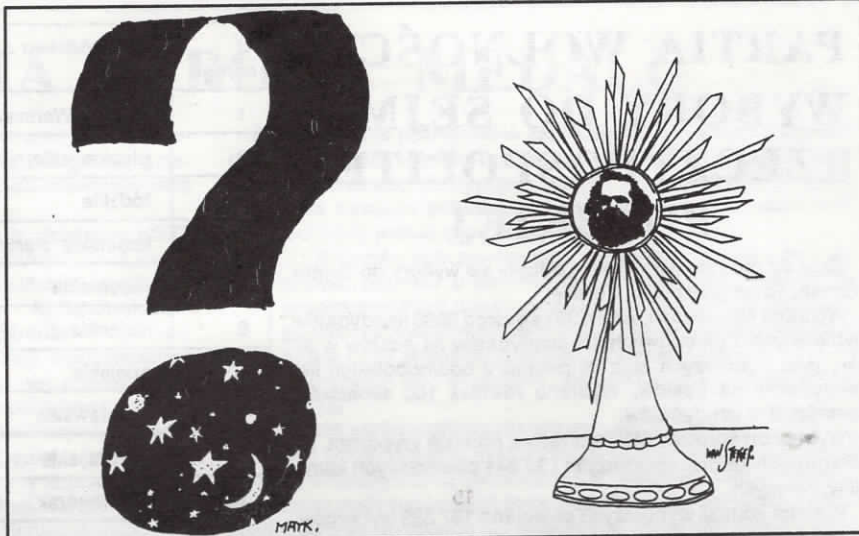
zainteresowaniem. Kampania wyborcza w telewizji była niesłychanie nudna. Zaciążyła tutaj formuła programu wyborczego. Najciekawsza była chyba pierwsza część kampanii wyborczej - miały tutaj miejsce ciekawe polemiki czy starcia słowne. Jednakże im dalej w las tym było coraz... nudniej. W kampanii tej zabrakło debat politycznych pomiędzy wybranymi choćby poprzez losowanie komitetami wyborczymi. I tak każdy wygłaszał swoje własne nie zważając na kontrargumenty czy opinie słuchaczy.

Programy wyborcze były również okazją do zaprezentowania się Partii Wolności. Najlepsze było chyba pierwsze wejście - ostra polemika z dziennikarzami, celne argumenty, jasne wyłożenie najważniejszych kwestii ofensywność pozostawiły niezatarte wrażenie. Potem już było znacznie gorzej. Drugi występ był tłumaczeniem z tego, co zostało powiedziane w pierwszym programie wyborczym. Natomiast dalsze bloki programowe były zdecy-

dowanie złe. Zabrakło jakiegokolwiek urozmaicenia - tylko ponure twarze mówiące ciągle to samo. Również nie był zbyt dobry pomysł ze zbyt często wywracającym stołem - sugerował ono społeczeństwu beżmyślne awanturnictwo miast woli twórczenia. Nagminną manierą był moralistyczny ton większości wypowiedzi, np. - elity zdradziły naród" itd. Kiedy się nie dysponuje wystarczająco dużą ilością czasu by wyjaśnić co należy przez to rozumieć lepiej w ogóle z niego zrezygnować, by uniknąć nieporozumień. Szermowanie moralistycznymi ocenami rodzi również niebezpieczeństwo płycizny intelektualnej czy merytorycznej. O wiele bardziej łatwiej przykleić komuś czy czemuś wartościującą „łatkę” niż zadać sobie trud zanalizowania danego zjawiska, wyjaśnienia jego genezy, zaproponowania zmiany określonego stanu rzeczy. Treść programów wyborczych Partii Wolności była również zbyt monotonna. Dekomunizacja jest kwestią ważną, w niektórych dziedzinach jak np.

wojsko czy wymiar sprawiedliwości nawet kluczową nie zastąpi ona jednak sensownego programu gospodarczego.

Frekwencja wyborcza była bardzo niska - wynosiła około 42%. Jeżeli przyjmiemy, że przeciętna frekwencja wyborcza wynosi około 65-70%, to aż 25% nie głosowało. Dlaczego? W jakiej mierze jest to wynik niezadowolenia społecznego z systemu politycznego zrodzonego w wyniku umów Okrągłego Stołu, w jakiej mierze jest to rezultat zawilej ordynacji wyborczej i odstraszającej kampanii wyborczej w TV, w jakiej mierze jest to efekt braku przekonujących alternatyw. Wynik głosowania przy tak niskiej frekwencji nie może budzić zaskoczenia. Partie postkomunistyczne dysponujące stałym elektoratem, przy niskiej frekwencji wypadły stosunkowo dobrze. Poza tym - rozbiście głosów. Białolenie na polską kłótniowość i skłonność do sporów jest nieporozumieniem. Przecież to pozostające przy władzy w wyniku umów z komunistami elity solidarnościowe przez ponad rok hamowały proces tworzenia polskiej sceny politycznej. Przez ponad rok forowano wyższość formuły „obywatelskiej” organizacji życia społecznego nad „partyjnym” czy kwestionowano w warunkach polskich sens podziału na lewicę i prawicę. Mamy więc to, co mamy.



Nie byłem też skłonny przypisywać temu Sejmowi krótkotrwałego żywota. Obecność centro-prawicowych ugrupowań - PC, KPN, WAK, KL-D czy częściowo PSL-u stwarza możliwość większości parlamentarne nawet z wyłączeniem UD. Na dobrą sprawę żadne z ugrupowań poza komunistami nie wie właściwie dlaczego otrzymało taką a nie inną liczbę głosów. Żadne z nich nie będzie też pewne czy powtórzy rezultat w przyszłych wyborach. Wpływać to będzie na

kompromisowość i ugodowość głównych sił politycznych w parlamencie. We własnym /koteryjnym nie ideowym/ interesie będzie dotwać jak najdłużej - do końca kadencji. Oznaczać to będzie także przesunięcie centrum decyzyjnego z parlamentu czy rządu do urzędu Prezydenta. Najbliższe tygodnie i miesiące pozwolą chyba zweryfikować trafność tej prognozy.

Krzysztof BRZECHCZYN

RODZINA POLITYCZNA

W „Kulturze” (...) nie było nigdy rozłamów, czystek, walk personalnych, ścierania się osobistych ambicji, dramatycznych rozejść się i dramatycznych powrotów. W naszych dyskusjach, które bywają gwałtowne, nigdy nie chodzi o linię polityczną p. Giedroycia czy linię polityczną p. Mieroszewskiego, lecz o linię polityczną „Kultury” i to jest cała tajemnica. Celem jest zawsze wypracowanie, wydiskutowanie, wykrystalizowanie linii i fizjonomii pisma, któremu służy i które w stosunku do nas jest wartością nadrzędną. Każdy z nas, członków redakcji, identyfikuje się z „Kulturą”, ponieważ „Kultura” jest czymś więcej niż każdy z nas - pisał Juliusz Mieroszewski. Dla Jerzego Giedroycia i jego Instytutu Literackiego pływającego na obcych wodach, będącego przez lata sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem niepodległa Polska i „Kultura” były jednym. Były conradowską służbą z całym zrozumieniem sensu hierarchii i naturalnością wyrzeczeń. To właśnie tych dwóch cech zabrakło nam po wielkim wspólnym zwycięstwie kraju i emigracji. W nadwiślańskiej postbolszewii brakuje zrozumienia faktu, że polityka nie jest dobrym zajęciem dla przerosniętych młodych intelektualistów, dworaków udających mężów stanu, niezrealizowanych twórców szukających społecznego twórcy. Polityka wolnych ludzi w wolnym kraju jest przede wszystkim nużąca, codzienną harówką. To siedzenie na spotkaniach, słuchanie innych, tłumaczenie, o co chodzi tym wyżej lub tym niżej, administrowanie finansami publicznymi, dobór personelu, ustalanie procedur sprawnego działania. W „Kulturze” polityka nie kończyła się na wizjach, które dziś się spełniają, lecz od nich tylko zaczynała. Jerzy Giedroyc jest dla mnie mężem stanu, gdyż mężnie znosił ten stan w imię służby Polsce. Kraj „Kultury” jest moją rodziną polityczną. W Maisons Laiffite oddychało się zawsze inną Polską. W kraju dyskutujemy na ogół o polityce w płaszczyźnie intencji lub symboli. Jerzy Giedroyc - setki kilometrów od Nadwiślańia chciał zawsze przylegać do rzeczywistości krajowej tak, aby wyprzedzać wypadki. Obcowanie w kręgu „Kultury” nauczyło mnie poruszania się w płaszczyźnie czynów politycznych, woli pracy. „Kultura” uczyła, aby słowa możliwie ściśle do nich przylegały. Tylko takich słów, które pozwolą dotknąć rzeczywistości, odpowiedzieć na pytania zwykłych ludzi warto szukać, tylko takie wyławiać spod warstwy postkomunistycznej nowomowy jak i tej naszej - postsolidarnościowej. Inaczej utoniemy w

powodzi gadulstwa, szczególnie, że nadprodukcja patosu jest naszą narodową specjalnością. Pavel Tigrid w poświęconym „Kulturze” tekście „Głos mego mistrza” napisał: „...wszystko, co Polacy mają w dużym wymiarze, Czesi mają w skromniejszym - za wyjątkiem może klęsk historycznych”. Ilekroć z tych klęsk rodzi się ze słowoczynu, z przekonania, że wystarczy coś powiedzieć, aby słowo czynem się stało! „Kultura” paryska była i pozostaje znaczącym ośrodkiem politycznym dlatego, że jej słowa zaowocowały czynami. Redaktor nie kryje - wbrew moralizatorom - że demokrację można i przesolić, i przepieprzyć. W książce „Ewolucjonizm” wydanej w 1964 roku Mieroszewski pokazywał jak strona bierna może stać się czynną: „Demokracji w Polsce nie stworzy ni nowa konstytucja, ani wolne wybory. Własną formę demokracji musi się wypracować i wywalczyć. Zmiana międzynarodowej koniunktury politycznej może nasze szanse polepszyć lub pogorszyć - lecz demokracji nikt nam w prezencie nie ofiaruje. To jest typ kultury politycznej, która musi wyrósć z nas samych...” Jerzy Giedroyc apeluje do wielkości Polaków, ale widzi też małość („rację mamy my, nasi przeciwnicy myślą się, a tym bardziej, że tego jeszcze nie zrozumieli”).

Głęboki antykomunizm „Kultury” wynikał także z niechęci do tych wiedzących lepiej, do tych, którym leninowskie „kto kowo” przestało „za czto”. Kompromis jest wynikiem chłodnej analizy, nie zaś nieustanną gotowością do układania się. Po *liberum veto* i *liberum conspiro* właśnie *liberum mediato* - złotą wolność negocjowania w imieniu społeczeństwa spraw, których nie jest dane mu kontrolować - uznałem w jednym z esejów publikowanych w „Kulturze” za zasadniczą wadę polskiej polityki. To ważne rozróżnienie: czy realizm jest uznaniem rzeczywistości po to, aby ją zmieniać w odstępnych ramach faktów i dostępnej perspektywie czasu, czy jest uległością lub ambicją bez granic poddaną moralizatorstwu? Właśnie to twarde stąpanie - choć na odległość - po ojczyźnej ziemi powoduje, że do dziś Polska Giedroycia jest nieraz bliższa niepodległościowym ideałom i realniejsza niż Polska Polaków w Polsce.

Rodzinę polityczną „Kultury” spaja wola. Bez niej nie ma wolności.

Maciej POLESKI

WĘDRÓWKA LUDÓW - GRANICE...

Czas wędrówki ludów jeszcze się nie zakończył. Również granice państw przestały być niezmiennie, to kurczą się lub rozszerzają się. Widać to w Europie, w Chinach innych częściach Azji, Afganistanie, a ostatnio wszystkie części imperium sowieckiego zaczęły się „ruszać”, poczynając od południowego podbrzusza, dalej części centralnej i najważniejsze, ruszyły ku wolności narody części europejskiej oraz Gruzja i Ormianie. Narody, kiedyś pozbawione przez Moskwę wolności, dziś zdecydowanie domagają się swojego prawa do samostanowienia. „Gnicie” rosyjskiego kolosa stwarza wielką szansę dla wszystkich narodów ujarzmionych i dla świata, ale spowoduje migracje milionów deportowanych ludzi — powrót do stron ojczystych. Należy spodziewać się, że i Polacy zechcą wydosłać się z „raju” moskiewskiego, których jest miliony a w samym Kazachstanie jest ich około 350 tysięcy.

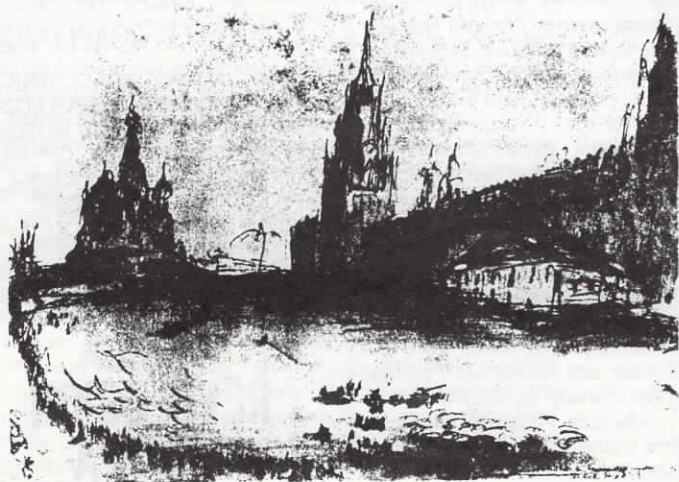
Również Niemcy, jak słysząc, usiłują przesiedlić się, jeżeli nie do Niemiec, co już nawet ma miejsce, to przynajmniej do Nadwołża; Ukraińcy i inne narody, tak jak Polacy zeszani na zniszczenie czy w najlepszym przypadku zrusyfikowane, też pragną powrócić do swoich rodzinnych stron. Moskwa deportując miliony ludzi, wlatczała ich w obce struktury społeczne i

część terytorialnej rekompensaty za zagrabienie połowy terytorium Polski. Stało się to przy współudziale Ameryki, Anglii, zostaliśmy zepchnięci na zachód z tym, że jak każdy bandyta i Rosja uszczknęła część terenu dla siebie.

Historycznie rzecz biorąc, tereny te wraz ze znaczną częścią Prus Wschodnich, kiedyś należały do Polski, nawet sama nazwa wywodzi się od naszych królów - o polskości tego miasta i rejonu może świadczyć i fakt, że przed II wojną światową co czwarty szyl na sklepie wskazywał na polskie pochodzenie właściciela. Również przed wojną o polskości tego miasta świadczyły komentarze, na których duży procent nagrobków posiadało polskie czy słowiańskie nazwiska. I dziś, gdy Moskwa „gnijac” pod naciskiem narodów ujarzmionych musi się godzić dziś na zwrot niepodległości wielu narodom i państwom, również Polsce powinna zwrócić Królewiec. Podobno Jelcyń a nawet Gorbaczow byli skłonni Polsce zwrócić, lecz prokomunistyczni rządzący Polską, tacy jak Mazowiecki, Skubiszewski i ich kumple, żadnej w tym kierunku inicjatywy nie podjęli... A co gorsze, nawet Prezydent Wałęsa tego tematu, jak diabeł święconej wody unika. Cała ta krypto — komunistyczna „śmietanka” władająca Polską i w tym punkcie jest anty-polska!!! Ale wracając

do rządu, który był zaaferowany Powstaniem Warszawskim i był naciskany w kierunku poddania się Moskwie, lecz porozumienie to miało tę przewagę nad „gadaniami” o potrzebie znalezienia porozumienia z Ukraińcami, bowiem praktycznie zostało wcielone w życie. Otóż na skutek wielu czynników, m.in. wrogie działania Moskwy i Berlina, gubernator Hans Frank na posiedzeniu swego rządu powiedział, że byłoby nieszczęściem dla Niemiec, gdyby Polacy i Ukraińcy zamiast walki pomiędzy sobą — współpracowali ze sobą), olbrzymiej głupoty i złej woli okazywanej przez partyjniaków, kierujących Komisją Wschodnią przy Departamencie Informacyjnym i Biurem Wschodnim przy Departamencie Spraw Wewnętrznych, którzy swoimi uchwałami i działaniem zastrzelili współżycie między setkami tysięcy ludności polskiej i ukraińskiej. Cały teren wspólnego zasiedlania, od Tarnopola, poprzez Stanisławowskie, Lwowskie, Wołyń, aż wreszcie wschodnią lubelszczyznę objęły rzezie i pożogi... Przypuszczam, że Ukraińcy nie chcieli czekać aż im coś taskawie ofiarujemy... W tych walkach, z obowiązku służbowego i ja musiałem brać udział. O tym jaki gen. Sikorski i chyba jego rząd miał stosunek do Ukrainy świadczy jego wypowiedź do „cichociemnych” w dniu 28 sierpnia 1942 roku w Audley End w Anglii — było nas 36. Na pytania dotyczące spraw polsko — ukraińskich, gen. Sikorski odpowiedział „o widzę, że interesuje was wielka polityka”, a na dalsze pytania i argumenty dodał, „Ukraińców sprzedam Stalinowi” i po natrączywych dalszych pytaniach dotyczących sposobu „sprzedaży”, czy może nastąpi wymiana podobna do tej którą przeprowadziły Turcja i Grecja po I wojnie światowej, generał odpowiedział: „za wiele byście chcieli wiedzieć”...

Odnosnie Prus Wschodnich, Gdańska, Pomorza Zach., Opolszczyzny, Wrocławia, wódz i premier skromnie odpowiedział: „ja się nie będę pchał na zachód, ja nie chcę mieć u siebie siedem czy dziewięć milionów Niemców”. I więcej pytań do wodza nie było. Skutki działalności różnych mężów stanu jeszcze dziś ponosimy, lecz najcięższych przeżyć i ofiar okresu wojny nie usprawiedliwi. Nie w mojej gestii, jako terenowego dowódcy w Armii Krajowej były sprawy polityczne, jednak ze względu na zadania bojowe, pośrednio, utrzymywałem kontakty z niektórymi Ukraińcami, którzy jak i my nie akceptowali rozstrzygnięć spornych przy pomocy mordów i pożog. I gdy tylko front rosyjsko-niemiecki przewalił się przez Bug (- lipiec 1944), prawie natychmiast zareagowałem i na zwołanej odprawie oficerów, w dniu 22-23 września 1944r., po przyjęciu raportów powiedziałem: od tej chwili zamiast walki przeciwko Ukraińcom, rozkazuję szukać kontaktów porozumienia. Wywołało to zrozumiałą konsternację, bowiem wśród obecnych byli tacy, którym pomordowanoczeń rodziny, dlatego w dłuższym wywodzie, powołując się na historię i biorąc pod uwagę terytorium,



narodowe i usiłowała zniszczyć przy pomocy zesańców więzi tubylców. Nasz kraj również powinien być przygotowany na powrót nie tylko deportowanych lecz i ich potomków, wszak mają oni do tego naturalne prawo!! Lecz w naszej części Europy, jak wrzód na tyłku, znajduje się enklawa, którą zaborca moskiewski okupuje i co ważniejsze, wcielił do Rosji. Chodzi o Królewiec, skąd zamieszkujących ludzi Moskwa deportowała w głąb swego imperium, a na ich miejsce osiedliła Rosjan, zarazem zainstalowała tam olbrzymią bazę wojenną, zagrożając całej Europie. Ta zbrojna, dziś rosyjska enklawa — Królewiec — stwarza bezpośrednie zagrożenie dla Litwy a nawet Białorusi, nie mówiąc po Polsce, od której decyzją Stalina Królewiec został odłączony od Prus, czyli dziś od olsztyńskiego, czyli

do Królewca, to teren ten jako część terytorium rekompensacyjnego od Niemiec, powinien być zwrócony i głównie tam powinniśmy osadzać Polaków repatriantów z imperium moskiewskiego. W żadnym wypadku nie wolno nam pozostawać biernymi, a nawet wprost przeciwnie, powinniśmy kategorycznie sprzeciwiać się osadzaniu Niemców, bo byłoby to ponowne okrażanie Polski i również zagrożenie dla innych państw. Natomiast kwestie sporne istniejące pomiędzy Ukrainą a Polską powinniśmy rozwiązywać w duchu porozumienia, które już w 1945 roku zostało zawarte, a którego twórcą i realizatorem byłem ja, Marian Gołębiowski.

Można by podważyć wartość tego porozumienia, gdyż nie było ono zawarte przez najwyższe czynniki emigracyjnego

możliwości gospodarcze oraz stan ludności, a głównie bezsens wzajemnego wyniszczania się co było na ręce naszym wrogom, wyprowadziłem wniosek o konieczności znalezienia wzajemnego zrozumienia i porozumienia.

Pragnę zwrócić uwagę czytelnika na fakt, iż w tym czasie Kdt Okręgu A.K. „Marcin” - Kazimierz Tumidajski, Delegat Rządu na Lubelszczyznę - Cholewa, d-cy dywizji A.K., delegacji powiatowej, wielu oficerów zostali aresztowani i wywiezieni w głąb Rosji, a co ważniejsze w Warszawie wybuchło powstanie i wszystkie czynniki wojskowe oraz polityczne, łącznie z Londynem, nie miały możliwości i czasu na zwracanie sobie głowy takim zagadnieniem jak zażegnanie wojny z Ukraińcami. Sprawa ta również wiązała się ściśle ze sprawą powrotu dziesiątek tysięcy gospodarzy na swoje gospodarstwa, bezpieczeństwa dla nich, którzy na skutek zagrożenia zmuszeni byli w okresie wojny opuścić swoje wsie, które spłonęły. W owym czasie również na stan polityczny i wojenny w Kraju żadnego wpływu „Londyn” nie wywierał, bowiem oni wszyscy byli zaabsorbowani organizowaniem pomocy dla walczącej Stolicy.

A Polska to nie tylko Stolica... Jeszcze na odprawie podyktowałem treść ulotki do Ukraińców, następnie rozkolportowana ona

była od Włodawy aż po prawie Przemyśl, zawierając propozycję - by w obliczu wspólnego wroga naszych narodów - zupełnie zaprzestać wzajemnych walk a nawet wspólnie się bronić przed nim. Już po paru tygodniach miałem w terenie pozytywny oddźwięk gdyż duchowni ukraińscy zwrócili się w tej sprawie do księży polskich. Walki zupełnie zanikły i w styczniu 1945 roku miałem się spotkać z przywódcami ukraińskimi, lecz ich przedstawiciel zdążył uciec z Lwowa zginął w potyczce z NKWD. Na szczęście, kontakty terenowe zacieśniały się, zapanował zupełny spokój i czekaliśmy na lepsze warunki terenowe, gdyż śnieg zbyt szybko zradzał obecność innych ludzi niż NKWD-ści. Wreszcie w maju 1945 roku, pomiędzy Tomaszowem a Lubaczowem, we wsi Ruda doszło do spotkania przedstawicieli UHWR i UPA z A.K.; z naszej strony wraz ze mną przybyli terenowi dowódcy. Spotkanie było ubezpieczone przez pluton A.K. oraz przez pluton UPA. Nie będąc rozwołany się nad przebiegiem dyskusji, o której już sporo napisano, lecz ustaliliśmy całkowitą współpracę pomiędzy naszymi organizacjami, z przesłanką na przyszłość, że obydwie nasze narody będą dążyć do pełnej współpracy tak dalece, że z czasem utworzą wspólne państwo, o granicach obejmujących tereny

obydwu narodów, dalej ważne było, że nie stanowiliśmy granicy - w przyszłości, pomiędzy nami, zaś teren od Dniepru po Bug i San, z ludnością, w której w żadnym wypadku nie można było stwierdzić jaka w kim krew płynie, tak silnie była tamtejsza ludność wymieszana, a nawet nazwiska tam nie mówiły, do jakiej narodowości kto należy, bowiem często polskie nosili Ukraińcy, my zaś mogliśmy stwierdzić, że noszący nazwiska o brzmieniu ukraińskim są Polakami, również manifestowali swoją polskość. Tereny te były naturalnym pomostem pomiędzy naszymi narodami. W tej sytuacji przyjęto, jako zadanie przyszłościowe, by nasze narody i państwa połączyły się, tworząc siłę, która w dużym stopniu zabezpieczałaby nasze narody przed agresją sąsiadów. Myślę, że idea połączenia się Polski i Ukrainy może nadal służyć naszym narodom za przykład, że nawet w arcytrudnej sytuacji, przy dobrej woli i rozwadze, można dojść do porozumienia a nawet odtworzyć przyjaźń, która przed wiekami nas łączyła a dziś może być oparta na wspólnym interesie politycznym, gospodarczym oraz obronnym. Za wolność i o wolność Polski i Ukrainy nasze narody dawniej przelewały krew.

New York, 27 września 1991 roku

Marian GOŁĘBIEWSKI

„GARSTKA PIASKU”

Nieoficjalnie mówi się, że były Prezydent R.P. na Uchodźstwie Ryszard Kaczorowski przekazał insygnia władzy państwowej, mimo że nie zostały spełnione podstawowe warunki, gdyż uległ naciskom mocarstw zachodnich. Nasuwa się refleksja - jakże to? On - potomek polskiego rodu - pełnicy władzę prezydenta, jak mówił „Urząd, który Bóg powołał mi piastować”, odpowiedzialny z tej racji za wielki skarb Polaków, za insygnia władzy - symbole niezawisłości Państwa Polskiego, odważył się przekroczyć granice honoru depcząc go i oddał ów skarb do jarmarcznego teatrzyku w Belwederze, gdzie odgrywane są sztuki według scenariusza „okrągłego stołu”. Głównemu aktorowi - Wałęsie potrzebne były insygnia jako akcesoria, aby olśnić, oszołomić, zhipnotyzować społeczeństwo, równocześnie zatrzeć granice prawdy i fikcji. Toteż „człowiek z siekierą” schwycił je łapczywie. Pojawia się pytanie - dlaczego Prezydent Kaczorowski spadkobierca Testamentu Narodowego zdecydował się na taki krok. Dlaczego to uczynił? Wiedział przecież, że Testament przechodząc na kolejnych prezydentów na uchodźstwie, gwarantował bezpieczeństwo insygniów przed oddaniem ich do Polski zanim nie zostaną spełnione podstawowe warunki:

- wycofanie się wojsk sowieckich z Polski
- przeprowadzenie wolnych wyborów do parlamentu,
- uchwalenie konstytucji,
- wybór prezydenta.

Na krótko przed przekazaniem insygniów prezydent Kaczorowski zapewniał w specjalnym oświadczeniu /które przedrukowaliśmy w numerze 29/, że tak, jak jego wielcy

poprzednicy, dochowa wierności Testamentowi Narodowemu. Postąpił inaczej. Zdradził. Nieoficjalnie mówi się, że pan Kaczorowski żałuje teraz swego czynu. Nie byłbym zdziwiony, gdyby była to prawda. Patrzając bowiem na tragiczny obraz Polski i najwyższego władcę - pana Wałęsę - można mieć wyrzuty sumienia. Nie ma dowodów na to, że istotnie Zachód wywierał nacisk na prezydenta Kaczorowskiego, a on żałuje swego czynu. Natomiast prawdą jest, iż popełnił czyn amoralny. Dlaczego to uczynił? Pyta coraz więcej ludzi. Dlaczego? No cóż - może dlatego, że w dzisiejszej Polsce stosowana jest na wielką skalę gra pozorów. I może pan Kaczorowski poddał się tej iluzji zapominając o rzeczywistości. A wówczas - wówczas Parlament ugody z komunistami wydał mu się parlamentem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Lech Wałęsa krewnym Piasta Kołodzieja, godnym, berta i jabłka królewskiego, a dywizje sowieckie stacjonujące w Polsce są sprawą mało ważną, zważywszy iż nobliści Wałęsa i Gorbaczow darzą się zaufaniem. Wielki Cyprian Norwid pisze w „Garstce piasku” „...a ten co do sumienia historii oderwie się - dziczeje na wyspie oddalonej... Tak iż bywa, że na nowo apostołów posyłać im trzeba, tak iżby powrócili w dawny prąd”. Niestety, w tym przypadku jest już za późno. Jeśli nawet apostołowie prawdy dotarliby na emigrację i przekonali o istocie rzeczy, będą jedynie wyrzutem sumienia dla pana Kaczorowskiego.

KANCLERZ

Przedruk za 30 n-rem pisma Grupy Niepodległościowej „Vade Mecum”

O POMOC DLA MUZEUM ANTYKOMUNIZMU

Z INICJATYWY PRACOWNICZYCH PARTII I ORGANIZACJI SPOŁECZNYCH, POWSTAJE W POZNANIU MUZEUM ANTYKOMUNIZMU. NASZA, CHYBA PIERWSZA W ŚWIECIE PLACÓWKA TEGO TYPU, BĘDZIE GROMADZIĆ ZBIORY DOKUMENTUJĄCE WALKĘ NARODU POLSKIEGO ORAZ INNYCH NARODÓW Z NIEMORALNYM I LUDOBÓJCZYM SYSTEMEM KOMUNISTYCZNYM. PRZY MU-

**VIVA LA
REVOLUCIÓN
CONTRA
COMUNISTA**



ZEUM POWSTAJE RÓWNOCZEŚNIE PRACOWNIA NAUKOWA I BIBLIOTEKA WYDAWNICTW TZW. DRUGIEGO OBIEGU. KOSZTY URUCHOMIENIA I UTRZYMANIA OBIEKTU SĄ DUŻE. ZOSTANĄ ONE POKRYTE W PRZYSZŁOŚCI DZIAŁALNOŚCIĄ GOSPODARCZĄ. W TEJ CHWILI JEDNAK LICZY SIĘ KAŻDY TWÓJ GROSZ! KAŻDY NADEŚLANY EKSPONAT! KAŻDA ISKIERKA MORALNEGO WSPARCIA! KONTO: II OM PKO PONAŃ 63526 - 65142 - 132.

MUZEUM ANTYKOMUNIZMU
UL. BOTANICZNA 2, POZNAŃ

WIENIAWA - KABOTYN, BIRBANT, LITERAT.- Cz.1

Bolesław Ignacy Florian Wieniawa Długoszewski /1881-1942/- doktor medycyny, literat, generał kawalerii, ambasador Rzeczypospolitej Polski w Rzymie — to jedna z najbardziej barwnych i najwybitniejszych postaci polskiego dwudziestolecia międzywojennego. Jeszcze za życia był świadkiem powstania własnej legendy, która rodziła się z chwilą gdy wstąpił do legionów Józefa Piłsudskiego, a przetrwała do dziś. W niniejszym artykule chciałem przedstawić go nie jako żołnierza i polityka, lecz jako kabotyna, birbanta i literata, który odgrywał istotną rolę w kręgu warszawskiej cyganerii. Usiłowałem zachować dystans wobec jego osoby - nie wydawać wyroków, ale też nie budować pomnika. Po prostu, „odegrać legendę Wieniawy”, co postulował już ponad dwadzieścia lat temu w wspomnieniu o nim na łamach czasopisma „Więź”, Antoni Słonimski. Wieniawa związał się z bohemą artystyczno-literacką stolicy od momentu uzyskania przez polską niepodległości. Kiedy 21 listopada 1918 roku w Warszawie powstała kawiarnia poetów „Pod Picadorem”, której założycielami byli Antoni Słonimski i Tadeusz Raabe, do jej stałych bywalców oprócz świata artystyczno-literackiego, należał Wieniawa. Jego autorytet w środowisku piłsudczyków, „w sprawach kultury — jak pisał Słonimski — był niezachwiany”. Zaliczano go do przodujących luminarzy „oboju belwederckiego”. Spotkać tam można było także przedstawicieli edencji, by wymienić tylko Adolfa Nowaczyńskiego. Słonimski tak wspominał tamte czasy w poemacie pt. „Popiół na wiatr”:

*„Pamiętam dzień premiery. Widzę przed oczyma
Czarą zgodną Warszawę w jednej małej salce
W czerwonej wschodni sukni wyniosły Sulima
Strug siedzi z Nowaczyńskim, Berent przy Mesalce
Dzwoniąc szablą od progu idzie piękny Bolek
Ulubieniec Cezara i bożyszcze Polek.*

Wieniawa nie był tylko biernym uczestnikiem „Picadora”, gdzie spotykali się członkowie grupy literackiej „Skamander”, do której należeli między innymi już Słonimski, Jan Lechoń, czy też Julian Tuwim. Z chwilą kiedy zaczęli oni pisać w „Cyruliku Warszawskim” szopki polityczne, a następnie je wystawiać, Wieniawa nieoficjalnie pisał teksty piosenek do tegoż czasopisma, oficjalnymi zaś autorami szopek, do których nazwiska podawano do publicznej wiadomości byli Jan Lechoń, Julian Tuwim, Antoni Słonimski i Marian Hemar. „Pierwsza szopka warszawska”, była wystawiona w sali cukierni Dużej „Ziemiańskiej” przy ulicy Kredytowej 9, w dniu 14 stycznia 1922 roku. Wieniawa przedstawiony w niej został pod pseudonimem Vent-En-Avant. Od 1927 roku poniechano wystawiania „Szopek warszawskich”. Natomiast od 1 lutego tegoż roku zainaugurowano nowopowstały cykl „Szopek Cyrulika Warszawskiego”. „Wiadomości Literackie” pisały: „Wielka polityczna szopka Cyrulika Warszawskiego (Szopek Pikadora ciąg dalszy), pióra Mariana Hemara, Jana Lechonia i Juliana Tuwima. Premiera w lutym w Dużej Ziemiańskiej (Kredytowa 9). A oto jak w szopce tej przedstawiono Wieniawę:

*„Ach co za rasa
Pierwsza klasa
Szwale Zerski szyk
Dowódca sam jak byk
Ma dwulitrowy tyk
Apollo Armii
z pomarańczarni
Belwederu straż
Adiutant legendy
Wcielenie Komendy
Prezentuj twarz!”*

Wieniawa był symbolem unii personalnej między kabaretem a elitą władz. W każdej szopce politycznej, skeczu, znalazł się o nim jakiś dowcip, czy powiedzenie. Był figurą nie do pominięcia. Pozorowano go na brata-łatę, cygana, pacyfistę w mundurze. W rzeczywistości zaś Wieniawa był doskonałym łącznikiem pomiędzy Belwederem Piłsudskiego, a kołami opiniotwórczymi. Jego niedyskrete nie były przypadkowe, a interpretacje wydarzeń, mimo językowego wigoru, upowszechniały wersje oficjalne. To on prze-

cięż wykladał ideologię piłsudczyków skupionych wokół Komendanta, tyle tylko, że robił to zabawnie. To nie kto inny jak Wieniawa wpadł na pomysł pokazania jednej z Szopek w Belwederze. Uzyskawszy zgodę Marszałka, ustalił z nim datę przedstawienia oraz pozostałe szczegóły. Autorzy szopki w określonym dniu mieli czekać w restauracji „Astoria”, dokąd tuż przed godziną szesnastą, o której powinno się było rozpocząć przedstawienie, miał po nich przyjechać samochodem Wieniawa. „Niestety ze smutkiem dowiedzieliśmy się z prasy popołudniowej - wspominał Słonimski, że



Putk. Bolesław Wieniawa-Długoszewski, Jan Lechoń, Julian Tuwim, Antoni Słonimski

Marszałek na tę samą godzinę zwołał do Belwederu Radę Ministrów. Przykro nam było, bo na tę wizytę z szopką cieszyliśmy się już od paru dni. Ale przed czwartą Wieniawa stawił się w „Astorii” i zabrał nas, bo okazało się, że przedstawienie jednak się odbędzie. Piłsudski istotnie zwołał Radę Ministrów, a gdy się ministrowie zjechali, powiedział: „Proszę panów na szopkę”. Wieniawa pojawiał się w szopkach razem z Piłsudskim lub też za nim, obowiązywała bowiem w nich ścisła hierarchizacja, o czym świadczy następujący tekst:

*„Niech zmlknie każdy śmiełek, zuchwałek, pyszałek
Na przedzie pan Marszałek, Marszałek, Marszałek
Marszałek zmarszczył brwi
[...]
A za nim armii aława, wzrok dumą napawa
A za nim tuż Wieniawa, Wieniawa, Wieniawa
Wieniawa-los beaux restes!*

Jak mocno kojarzył się Wieniawa społeczeństwu z szopkami politycznymi, świadczy fragment wspomnień wybitnego karykaturzysty okresu międzywojennego Jerzego Zaruby, który pisał: „Wystarczy powiedzieć, że we wszystkich szopkach warszawskich tego okresu występowała kukła Apolla Belwederckiego - Wieniawy. We wszystkich, z wyjątkiem jednej, w której występują kukła Cyrulika ogłaszała: „Największa sensacja Warszawy - Pierwsza szopka bez Wieniawy”. W dniu 5 czerwca 1926 roku doszło do utworzenia nowego czasopisma w Warszawie - „Cyrulika Warszawskiego”. „Inicjatywa założenia literackiego pisma poświęconego satyrze - wspominał literat Janusz Minkiewicz - wyszła z kół sanacyjnych pułkowników (w dwa tygodnie po zamachu majowym). W powstaniu pisma ważną rolę odegrał Wieniawa i grupa polityków zaprzyjaźnionych ze skamandrytami pochodzenia wojskowego, ze sztabu najbliższych współpracowników Piłsudskiego, czyli tzw. „wojskowa Ziemiańska” nazywana też „Koc-grupa”. Wspominał o niej w swych dziennikach Lechoń, wymieniając między innymi Józefa Becka i Wieniawę. „Cyrulik Warszawski” był oparty w dużej mierze na kulcie Józefa Piłsudskiego. Odnotował każde prawie

wydarzenie z życia oficjalnego i prywatnego Marszałka. Publikowano w nim wierszowane laurki na cześć Komendanta i quasi-satyryczne rysunki, na których występował on w najrozmaitszych, ale zawsze pozytywnie ujętych brązowniczych wcieleniach. Ocenie pochlebnej w „Cyruliku Warszawskim” podlegali również wszyscy współpracownicy Marszałka, jego aktualni i potencjalni sojusznicy. W końcu lat dwudziestych i początku trzydziestych byli to: Premier Kazimierz Bartel i kolejni ministrowie (najczęściej minister spraw zagranicznych August Zaleski) raz piłsudscy, których Komendant powołał na stanowiska w administracji państwowej, by wymienić tylko Bogusława Miedzińskiego, Janusza Jędrzejewicza, czy też Felicjana Sławoja-Składkowskiego. Najczęściej jednak z piłsudczyków na łamach tego czasopisma „pojawiał się” najbliższy przyjaciel Marszałka — Wieniawa. Jego osoba występuje do roku 1932 w „Cyruliku Warszawskim” 92 razy i urasta stopniowo do znaczenia postaci symbolu, wiążącego i integrującego środowisko literackie z obozem rządowym. Już w numerze pierwszym „Cyrulika Warszawskiego” znalazła się wzmianka o nim i to dwukrotnie. Raz jego postać pojawiła się w wierszu satyrycznym Juliana Tuwima pt. „Eia, Eia, Alala!”, drugi raz została uwieczniona we wspólniejszej karykaturze Zdzisława Czernańskiego pt. „Piłsudski-girls”, w której przedstawił corps de ballet Belwederu, gdzie obok Wieniawy znaleźli się Beck, Sławek, Miedziński. Sposób bycia Wieniawy, jego kontakty ze światem artystycznym powodowały, że pisano o nim bardzo często. Przykre jest jednak to, że przedstawiono go zazwyczaj w sposób stereotypowy, na ogół jako człowieka „trunkowego”, który lubi i może dużo wypić. W związku z tym w szopce politycznej z 1931 roku tak m. in. o nim pisało:

„Wieniawa chluba wszystkich chlub
Zalany w sztok — i co mu zrobić?

Wraca rano de Bergerac, de Bergerac, de Bergerac.

Julian Tuwim zaś w wierszu pt. „Z Illady”, w tekście zhellenizowanym, tak oto przedstawił Wieniawę:

„Na to głowami kiwnęli wszyscy w Olimpie zebrani:
Becktor wysokogolenny, Rydzejos Śmigły wojownik.
Sławoida Pierates i Wieniawontes z Pijantu,
Policjantos Jagrymeus i Sławekaon dorodny,
Cares, Kocydes, Sławojdon, Prystoraj i Jaroszejdos,
Stamirkalit, Śnieżynor, Miedzintet i Matuszelaj.

Wieniawa nie miał nikomu za złe, że zbyt często w utworach jemu poświęconych akcentowano jego „słabość” do alkoholu, wręcz odwrotnie, kiedy Julian Tuwim umieścił go na kartach „Polskiego słownika pijackiego”, poczytywał to sobie za chlubę. Nie zaprzeczał przed społeczeństwem, że lubił alkohol, lecz przeciwnie, przyznawał się do tego publicznie. „Niedawno występowaliśmy w Moszkowicza we Lwowie — wspominał Zbigniew Adriański, kłown okresu międzywojennego — w loży siedział Wieniawa w towarzystwie oficerów i damulek. Zaśpiewaliśmy ma piosenkę na melodię cygańskiego romansu, taką sobie, doczepioną do większego kupletu:

«Zapewne cała Polska dość dobrze
zna Wieniawę
Bo słynny pan generał ogromnie
lubi kawę
I jeszcze coś i jeszcze coś
Co? Cenzor nie pozwoli»

Generał nie pozbawiony poczucia humoru (aby wszyscy ludzie mieli takie poczucie) wrzasnął buńczucznie na całą salę: «Co znaczy nie pozwoli? Co ma cenzor do gadania?! Śpiewać, że lubię wódkę». Z kolei podczas koncertu kabaretu „Qui pro Quo” z okazji imienin Józefa Piłsudskiego, na który solenizant przybył wraz z Wieniawą, a występowali wówczas przed dostojnym gościem Fryderyk Jarosy, Adolf Dymśa, Kazimierz Krukowski, Hanka Ordonówna, Mira Zimińska - Sygietyńska, Zula Pogorzelska, miało miejsce takie oto wydarzenie. Otóż podczas tego przedstawienia Mirze Zimińskiej-Sygietyńskiej przypadła rola złożenia „rymowanych” życzeń Józefowi Piłsudskiemu. „Poprzedziła je — wspominała Zimińska-Sygietyńska — „piosenka z orderami”. Chodziłam po sali z koszykiem, śpiewając wyjmowałam z niego i wręczałam «ordery». Jeden z nich w postaci „srebrnej buteleczki” otrzymał Wieniawa. „Śmiechu było co niemiara”. Innym razem na jednej z popijaw w gronie artystów z „Qui pro Quo” Wieniawa wznosił toast: „Niech żyje «Qui pro Quo», kawaleria polskiego teatru!” Natychmiast jeden z uczestników spotkania odpowiedział toastem: „Niech żyje pan pułkownik Wieniawa, qui pro quo polskiej kawalerii”. A oto przykład jak śpiewano o Wieniawie w kabarecie „Qui pro Quo”:

„Gdy zapadnie noc na ziemię,
Nie ma ćwiczeń, kłus i cwał
Bo mój konik w stajni drzemie
/Żeby on tak zawsze chciał!/
Co tu robić? Przy okazji
Bym potarczył, mógłbym zjeść
Na to wchodzę do Oazji.
Kto tam siedzi? Baczność! Cześć!
Mój pułkownik. Pan Wieniawa.
Przed nim kawa i nie kawa.
Ja nie chcę dużo, Boże broń!
Ja chciałbym, żeby tyle wypić
mógł mój korii!”

Słottoność Wieniawy do mocnych trunków zaakcentowano również na łamach tygodnika „Wiadomości Literackie”, w cyklu karykatur jakie się tam ukazały w latach trzydziestych. W pierwszym z nich pt. „Ich zwierzęta”, zaprezentowano rysunek przedstawiający dużą butelkę. Podpis brzmiał: „Konik pana generała”. Oczywiście nikt nie miał wątpliwości, iż miał on na celu podkreślenie „słabości” Wieniawy do alkoholu. W drugim pt. „Pomniki Warszawy w przyszłości”, ukazano Wieniawę siedzącego na Pegazie, który w podniesionej prawej ręce trzyma pustą butelkę po alkoholu, pod koniem zaś leży członek orkiestry będący pod „dobrą datą”, obok którego leży porzucony bęben z napisem „Adria”. O tym, że Wieniawa lubił alkohol w sposób wydatny „przyczyniły się wjełce damulki warszawskie — wspominał Alfred Wysocki-zachęcające swego ulubieńca do picia: «Panje Boleczku — słyszałam nieraz w sali Malinowej, albo Europejskiej - wypijmy Bruderschaft! Pan jest taki kochany». Bolek uległ też gorliwie pokusom, pił, tańczył, flirtował, aż nagle stało się to nałogiem. Odwożono go raz pewnego do domu około godziny czwartej nad ranem i oddano w ręce jego ordynansa, lecz do piątej był już z powrotem w knajpie, skąd go tak niedawno niemal przemocą wyprowadzono. Nie raz zadawano sobie pytanie, dlaczego pił? Marian Romeyko, z którym Wieniawa współpracował na placówce dyplomatycznej w Rzymie twierdził, że działo się tak dlatego, ponieważ „nie umiał nikomu odmówić wypicia z nim kieliszka, a że wszędzie spotykał kompanów, a że kompani wszyscy byli trunkowi...” nie pozostawało mu nic innego jak się z nimi napić. „Na obronę śmiałybym mimo wszystko powiedzieć - pisał Romeyko-że to nie on szukał alkoholu - lecz alkohol szukał jego...” Lokaje podczas różnych przyjęć i rautów uważali za swój święty obowiązek, aby bez względu na obecność wielkich osobistości, najpierw podejść z tacą do niego przed innymi. „W ten sposób formował się przed nim ogonek lokai, z których każdy prosił «swego» Wieniawę, by właśnie od niego wziął kieliszek. Wieniawa nie odmawiał; nie mógł, były chwile gdy trzymał kielichy z szampanem w obydwu rękach; w ten sposób wychylił w ciągu kilku minut 8 kieliszków”. Należy podkreślić, iż podczas rozmaitych przyjęć Wieniawa „Zawsze zachował mimo tego co miał w głowie, ogładę i postawę gentelmena” - wspominała Jadwiga Sosnkowska. Swoją skłonność do alkoholu wykorzystał - czy raczej nakazano mu zrobić z niej użytek - w pracy. Wysocki wspominał jak spotkał Wieniawę w Hotelu „Europejskim” (20 sierpnia 1933r.), który siedział z Mieczysławem Wyżel-Scieżyńskim i z przybyłym z Moskwy Karolem Radkiem. Pisał: „Radek jest ważną figurą polityczną, nasadzono na niego dwu najtęższych pijusów, by go pociągnąć za język. Na razie opowiadał im tylko anegdoty i pił koniak jak wodę”. Wieniawa był podziwiany „od salonów ambasad do karczmy Joska na Gnojnej”. W tej restauracji królował razem z „Wołodą” /Włodzimierzem Jaroszewiczem”. Obaj też prześcigali się w „pomysłowości”. I tak np. pewnego dnia wsiadł na kozioł dorożki, założył czapkę dorożkarską na głowę (generalską musiał założyć dorożkarz siedzący z tyłu) i przejechał ulicami Warszawy Gnojną, Grzybowską, Graniczną itd. Niewątpliwie wyczyny tego typu przynosiły mu rozgłos, i tworząc zarazem jego legendę. Był jednym z „rekwizytów nieznoszonej «Warszawki», jak «Adria», Ordonka, dwukonka na gumach czy gołębie na mariensztacie”. Warto przypomnieć, że nieprawdą jest jakoby Wieniawa po pijanemu konno wjechał do „Adrii”.

Prawdą zaś jest to, że był tam mistrzem zabawy, podobnie jak w innych lokalach. W swoim życiu okazywał „kawalerską” fantazję. Loda Halama — artystka sceny polskiej okresu międzywojennego — pisała: „W Sokołowie u Bardzińskich (w majątku mego szwagra) Wieniawę spacerującego wzdłuż jeziora, zagadnął jakiś mały chłopiec - czy pan pułkownik wszystko może zrobić co tylko chce? Odpowiedział, oczywiście tak. A gdyby trzeba było skoczyć do

jeziora (była późna jesień), czy skoczyłby pan pułkownik? Wieniawa nie namyślając się – w mundurze skoczył. Przez jakiś czas pływał sobie najspokojniej. Potem, naturalnie, trzeba było buty rozciąć, a pułkownika rozgrzewać wódką, przed którą się nie bronił. Innym razem z watahą „zalanych” oficerów, będąc pijany jak „bela”, wkroczył do jednego z liceów żeńskich w Warszawie. Tam zarządził zawieszenie nauki i rozpoczęcie dancingu z uczennicami w obecności pedagogów. Poczucie własnej popularności, wybitny humor i dowcip powodowały, że jego sylwetka zarysowała się w sposób bardziej wyrazisty od innych i zwracała ogólną uwagę. Wieniawa nie wywoływał żadnych skandali. „Nie nazwałabym skandalem faktu – pisał Janusz Minkiewicz – który się wydarzył w czasach flirtu rządu sanacyjnego z hitlerowcami. Którejś nocy jakaś delegacja wyższych umundurowanych oficerów niemieckich, bodaj gestapowców, zawędrowała do „Adrii”. Szybko sfraternizowali się ze stolikiem Wieniawy. Obficie racząc ich alkoholem, Wieniawa, nastroił Niemców na ton sentymentalno - przyjacielski wobec Polski. Wspominał im krzywdy wyrządzone nam przez Niemców w ciągu całej historii Polski. Podpite szkopy rozczuły się coraz bardziej, aż okazały gotowość dania satysfakcji za swoje niesprawiedliwe dotąd traktowanie Polaków. Wieniawa powierzył rodzaj satysfakcji. Wówczas nasz generał kazał najstarszemu z umundurowanych Niemców uklęknąć na czworakach, wsiał mu „konno” na plecy, krzyknął „wio” i w ten sposób objechał na Niemcu „Adrię” dookoła. Ta przejażdżka Wieniawy prócz entuzjazmu sali, nie wywołała w następstwie komplikacji dyplomatycznych”. Na temat zabaw Wieniawy zakrapianych alkoholem opowiadał cuda. Antoni Słonimski jakby broniąc go napisał, że to, iż „wypić lubił nie czyniło go pijakiem”. Wspomniany Minkiewicz twierdził zaś, iż w rzeczywistości Wieniawa pijał niewiele. „Po prostu miał słabą głowę i kilka kieliszków starczało, aby uczynić go bardziej podochoconym i hałaśliwym od reszty towarzystwa”. Z kolei Jadwiga Sosnowska, że „gdyby rzeczywiście dawał się ponieść nałogowi, Piłsudski nigdy by nie wykorzystywał go do pełnienia rozmaitych trudnych misji, które wymagały faktu zręczności i „przutomności”. Ważne było także jej zdaniem to, iż wszystko robił na własne konto, na własny rachunek życiowy, nigdy się nie podpierał aurotytetami, nigdy nie



W „Resursie Artystycznej” (1930): Słonimski, Zula Pogorzelska i gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski

zdobyłby się, nawet w stanie upojenia alkoholowego, na stwierdzenie „czy pan wie, kto ja jestem?”. Należy przypuszczać, że to ciągłe sięganie przez Wieniawę po kieliszek miało jakieś poważniejsze przyczyny. Zdzisław Czernański – karykaturzysta okresu międzywojennego – pisał: „Smutne też widowisko dawał nam w Warszawie na kilka lat przed wojną Wieniawa. Skończyła się już wtedy jego wesołość. Wypiwszy gniewał się już tylko i miotał”. Dalej zaś notował: „Ale byli tacy, którzy w wybrykach generała ciągle chcieli widzieć ułańską fantazję. Bo nikt nie był skłonny uwierzyć, że te burdy to nie chwilowe ekscesy, ale oznaki choroby”. Jakiej? Zapewne nie alkoholowej, być może choroby ducha?! To pozostanie jednak tajemnicą na zawsze. Niektórzy pisząc na temat Wieniawy pokazali go w sposób bardzo jednostronny, jak zrobił to Tomasz Stępień. Pisał on m.in. o Wieniawie, iż był to „ówczesny playboy powszechnie znany z alkoholicznej fantazji i podbojów erotycznych”.

Wśród społeczeństwa, a nawet wojskowych, którzy znali go tylko z widzenia lub prywatnie, sądy o nim były powierzchowne i często fałszywie krzywdzące. Dużo kawałów krążyło po Warszawie na jego temat. Opowiadani np., że i Pułk Szwależerów opłacał naukę jego córki, ponieważ brak pieniędzy nie pozwalał mu na jej kształcenie lub że „Adria” umorzyła długi Wieniawy, bo nie był w stanie ich zapłacić. „Wszystko to ohydne kłamstwa!” - wspominał jego szef sztabu z 2 Dywizji Kawalerii, ppłk. dypl. Józef Szostak. Oczywiście wiele z tych kawałów opowiadanych o nim było zmyślonych lub

rozmyślnie złośliwie rozpuszczanych. Ogólnie bowiem wiadomo było, że Wieniawę lubił i cenił Piłsudski, a więc aby uderzyć w Marszałka, pośrednio rozpuszczano różne kłamstwa o Wieniawie. Miało to dowodzić jakimi ludźmi otaczał się „Dziadek”. Kazimiera Iłakowiczówna, przez pewien okres czasu, sekretarka Piłsudskiego wspominała, że od chwili kiedy poznała Wieniawę, musiało upłynąć pół roku, aby nagle odkryć, że „nie można go było nie lubić. Razem z niechęcią do Wieniawy, rozplynęła się we mnie bez śladu, zaszczepiona z miasta, legenda o straszliwym „otoczeniu” Marszałka”. Dalej zaś stwierdziła: „Był wesoły, żywy żywocią niespożytą i głęboko naturalną, i czarodziejsko uprzejmą [...]”. Z kolei Stanisław Cat-Mackiewicz – publicysta okresu międzywojennego – tak m.in. scharakteryzował jego sylwetkę: „Wieniawa nie dbał o opinię o sobie, ale był to jeden z kulturalnych i czarujących ludzi w Polsce. [...] Był jednym z najmniejszych anarchizmów XX wieku. Coś z bestroskiego ułana, cygana, szlachcica”. Wieniawa nigdy nie był „dusigroszem”. Jeżeli „gdzieś się pojawiał, płacił raczej dużo i to ludziem widzieli, bo był bardzo popularną osobą”. Skąd pieniądze? „Nie liczyli tylko wiedzieli, że dorabiał sobie takimi pracami jak (...) pisanie scenariuszy filmowych”. Jeden z nich napisał do komedii pt. „Ułani, ułani”. Pragnał w niej pokazać wojsko na wesoło, lecz z sercem, a nie jakąś „szmiorową bujdę”. Reżyserem miał być Ryszard Ordyński, a grać mieli m.in. Zula Pogorzelska, Adolf Dymśa, Władysław Walter, Kazimierz Krukowski. Uważano, że samo nazwisko Wieniawy, które zostanie wymienione na afiszu będzie „magnesem kasowym”. Niestety, film nie został zrealizowany. Był także eksporterem kierującym układem scen batalistycznych przy produkcji filmu pt. „Śluby ułańskie”. Pomagał również w kręceniu filmu Ryszarda Ordyńskiego pt. „Mogła nieznana żołnierza”, „wypożyczając swój” i Pułk Szwależerów do kręcenia zdjęć plenerowych. Wieniawa dorabiał sobie także tłumacząc książki z języka francuskiego, nie mówiąc o odczytach. Wówczas, gdy zarobił „parę tysięcy, potrafił dać orkiestrze sto złotych lub zapłacić grubszy rachunek”. „Wiadomości Literackie” z dnia 4 stycznia 1925 roku anonowały jego przekład „Laguny” - Josepha Conrad-Korzeniewskiego, którego twórczość uwielbiał. Wiąże się z tym pewien zabawny incydent. Otóż na jednym z przyjęć u poety Jana Lechonia, na którym był Wieniawa, „wspólny nasz przyjaciel Wołodia, wojewoda warszawski - wspominał Antoni Słonimski - wygłosił dość osobliwą sentencję: Bardzo lubię u tego Konrada-Korzeniewskiego jego pastelowe podejście. U jakiego Konrada? - spytał surowo Wieniawa - Konarzewskiego (był taki generał) - powtórzył wojewoda. Jakie podejście? - groźnie już spytał Wieniawa. - Pastelowe - trochę już zbity z tropu powtórzył Wołodia. Masz za Konarzewskiego i za pastelowe podejście - powiedział Wieniawa i wylał mu na głowę szklankę portu. Przetłumaczył też „Kwiaty zła” - Charlesa Baudelaire’a. Fragmenty ukazały się w „Wiadomościach Literackich”. Tego samego dokonywał z poezją Artura Rimbauda. Przełożył też pamiętniki napoleońskiego dowódcy kawalerii - Antona de Lasalles. Słynny ów bohater na polu bitwy, nieustraszone, szaleńczo odważny, a potem zapamiętały hulaka, utracusz i zawiadaka, był bardzo bliski jego sercu i wziął go sobie na wzór postępowania. „Wiadomości Literackie” z dnia 25 stycznia 1931 roku informowały: „Sensacyjna Nowość! Żywot żołnierza napoleońskiego - znakomitego kawalerzysty. Marcel Dupont - Generał Lassale. Przełożył i wstępem opatrzył Bolesław Wieniawa - Długoszowski”. Wysocki wspominał, iż Wieniawa tłumaczeniem tym nie mógł się nacieszyć. To on wreszcie rozpowszechnił w Warszawie powiedzenie Lasalle’a: „Dostyc żartów rozpoczynają się schody”. Z innych przekładów należy wspomnieć o eseju pt. „Wyścig z przeszkodami” z tomu Alhousa Huxleya „Muzyka nocą”, czy też o pracy Marcela Duponta „Szable w garść. Dzieje bojów kawalerskich”, do której napisał również przedmowę. Pisał też wstępy do prac polskich autorów z zakresu kawalerii, jak np. do książki Klemensa Rudnickiego pt. „Operacyjna użyteczność kawalerii w świetle historii”, czy też do pracy Adama Królikiewicza pt. „Jeździec i koń w terenie i skoku”. Redagował „Księgę jazdy polskiej”. Był człowiekiem niezwykle inteligentnym. Bardzo wiele czytał. Studiował nie tylko literaturę fachową z zakresu swej umiłowanej kawalerii, ale interesował się go wszystkie zagadnienia ówczesnego piśmiennictwa, w której to materii doskonale się orientował.

Marek KOZŁOWSKI

dokończenie w następnym n-rze

TRZECIA STRONA MEDALU

Otwartość i demokratyzacja polskiego życia politycznego zrodziły nowy gatunek literacki - „wywiad - rzekę” na gorąco przeprowadzany z czynnymi jeszcze politykami, podsumowujący jakiś okres w ich karierze politycznej.

Do tego typu literatury należą wspomnienia działaczy NSZZ „Solidarność” - A.Gwiazdy, liderów neo-„Solidarności” - A.Celińskiego, B.Geremka, Z.Bujaka, J.Kuronia, I.Cywińskiej czy przedstawicieli komunistycznego establishmentu - M.Rakowskiego, Cz. Kiszczoaka lub E.Gierka. Różna jest wartość źródłowa tego typu literatury. Obok niewątpliwie cennych informacji niedostępnych kwerendzie źródłowej historyków występują w niej przekłamania czy po prostu fałszy. Bardzo często na gorąco opisywane wspomnienia są kontynuacją polityki - służą usprawiedliwieniu obranej drogi przekształcając się w propagandową papkę. Jednakże w wywiadzie T.Bochnio z J.Kaczyńskim /Odwrotna strona medalu, Oficyna Wydawnicza MOST i Wydawnictwo Verba, Warszawa 1991/ przeważają raczej pozytywne strony tego gatunku literackiego. Charakterystyczną cechą wypowiedzi Kaczyńskiego jest szczerość granicząca niekiedy z cynizmem. Pozwala to Czytelnikowi zajrzeć za kulisy wielu wydarzeń politycznych ostatnich lat i zrozumieć

Zasady Gry Politycznej.

W potocznym mniemaniu podstawą gry politycznej, rywalizacji partii i stronnictw, są animozje i spory samych polityków. Rzadziej uwzględnia się różnice ideowo-programowe, które mają być podstawą wyodrębniania się ugrupowań politycznych. Siła każdej partii zależałaby w tym ujęciu od jasności i klarowności jej programu politycznego. Wyboru zaś dokonywałoby w nieskrępowany sposób same społeczeństwo. Tymczasem niepomijalną składową życia politycznego jest liczba stanowisk, etatów i posad, którą każda ze stron jest w stanie zaoferować swoim zwolennikom. Kaczyński znakomicie odśladuje ten podskórny nurt życia politycznego:

„Kuroń odchodząc z resortu pracy miał w rękach fundację z państwowych środków, tak samo jak Paszyński z budownictwa czy Cywińska z kultury. Wszyscy oni zaopatrzyli się więc w fundację” /Odwrotna strona medalu - mówi Jarosław Kaczyński. Warszawa 1991/

Jednakże warunkiem wstępnym każdej sensownej działalności politycznej jest zdobycie wpływu na środki masowego przekazu, za pośrednictwem których można rozpowszechniać swoje poglądy i werbować zwolenników. Kaczyński przyznaje, że środowisko polityczne obecnej Unii Demokratycznej w „tym temacie” było sprawniejsze:

„Historia wokół „Telegrafu” jest tu dobrym przykładem. Albo gdyby ktoś z naszej strony zabrał Solidarności gazetę, stał się jej prywatnym współwłaścicielem i dzięki temu, jak na polskie warunki, milionerem, to też by go roznieśli. W wypadku „Gazety Wyborczej” nie było nigdzie ani słowa. /.../ A przecież „Gazeta” była przydzielona całej Solidarności. Jeszcze wskutek umów Okrągłego Stołu Rakowski dał na to kredyty - kilkaset ówczesnych milionów złotych i przydział papieru. Wałęsa powierzył stanowisko redaktora naczelnego Michnikowi, a on z kolegami zrobił z tego prywatną spółkę. I nikt ani słowem! Powołują się na przeniesienie do „Gazety” aktywów podziemnego „Tygodnika Mazowsze” i pieniądze amerykańskich z Funduszu na Rzecz Demokracji. Te pieniądze też były przeznaczone na opozycję, a nie na prywatną Spółkę „Agora”, nawet jeżeli ta spółka inwestuje i nie wypłaca zysku udziałowcom. Przecież to było przeznaczone dla całej opozycji, a nie dla Michnika” /tamże, s.100/

Natomiast sam Kaczyński zdołał obsadzić tylko stanowisko redaktora Tygodnika „Solidarność”:

„Tygodnik dawał mi przede wszystkim możliwość oddziaływania politycznego. Po drugie, posada w „Tygodniku Solidarność” dawała mi pracę. Od wielu lat nie miałem stałej pracy, choć teraz przynajmniej byłem senatorem. Wbrew temu co się powszechnie sądzi, bynajmniej nie jestem taki znów ambitny i uważałem, że być senatorem i naczelnym redaktorem tygodnika solidarnościowego jest karierą godną uwagi, losiem zupełnie przyzwoitym” /tamże, s. 71/

Dysponowanie jakimkolwiek zapleczem materialnym - chociażby lokalem potrzebnym na organizowanie spotkań - jest podstawą każdej działalności politycznej. Dlatego też rację miał bydgoski rozmówca naszego bohatera, relacjonujący ową rozmowę. Najpierw oddajmy jednak głos Kaczyńskiemu:

„W Bydgoszczy pewien pan, deklarujący się jako nasz aktywista, poprosił o paręnaście czy dwadzieścia etatów dla prowincjonalnych działaczy, bo inaczej: my tutaj tak bez niczego i nic nie jesteśmy w stanie zrobić. Byliśmy wtedy partią bez lokalu i bez złamanego grosza. Wszystko odbywało się po kawiarniach albo w redakcji „Tygodnika Solidarność” /tamże, s. 118/

Jednakże wielka polityka rozpoczyna się dopiero od momentu, w którym zorganizowana frakcja obozu politycznego jest w stanie nie tylko oddziaływać na społeczeństwo, dysponować materialnym zapleczem podtrzymującym życie wewnątrzorganizacyjne, ale posiadać wpływy na obsadę jak największej liczby stanowisk, posad i urzędów. Dopiero to umożliwia skupienie większej liczby zwolenników. W tych to kategoriach Kaczyński porównuje Porozumienie Centrum z Unią Demokratyczną podczas kampanii prezydenckiej:



„A może to inny punkt startu? Tamci ciągle spadali, tracili swoje aktywa, natomiast ja stale zwiększałem, awansowałem praktycznie z niczego, z sytuacji, w której się mogłem zastanowić, czy zostaną łaskawie dopuszczony np. do powtórnego kandydowania w wyborach do parlamentu.../

Od utworzenia rządu Mazowieckiego od chwili objęcia tygodnika wszystko postawiłem na jedną kartę i wiedziałem, że jeżeli w tej czy innej skali coś mi się nie uda, zostaną całkowicie wyeliminowani, i to tak, że będę musiał pójść „w Polskę”, szukać jakiegokolwiek marnej pracy. Przecież z moimi uprawnieniami nawet radcą prawnym nie mógłbym zostać, doktorat z teorii prawa jest tu zupełnie nieprzydatny, a od pracy naukowej już się jakiś czas temu oderwałem” /tamże, s.146/

Bądźmy więc konsekwentni i dokonajmy analizy wydarzeń lat 1989-90 kategoriami dostrzeżonymi przez Kaczyńskiego. Zastосуjmy je również do interpretacji działań jego środowiska politycznego, nawet jeżeli wynik przeprowadzonej analizy nie będzie zgodny z jego wyjściowymi intencjami.

Podjęta przez środowiska lewicy warszawskiej próba zmonopolizowania za pośrednictwem Komitetów Obywatelskich niezależnej aktywności społecznej zepchnęłaby inne środowiska polityczne na margines życia społecznego. Równowagę pomiędzy frakcjami w Solidarności naruszałaby ugoda z komunistami, którzy promowali tych, którzy najlepiej zabezpieczali ich interesy. Ponieważ grupa lewicy laickiej miała niezależne kontakty z reformatorską częścią PZPR mogłoby to zagrozić nawet pozycji Lecha Wałęsy. Stąd w pewnym momencie jego poparcie dla Porozumienia Centrum. Powstanie tego ugrupowania było z kolei wyrazem przekonania ich przywódców, że tylko w ten sposób można zapewnić sprawliwszy podział wpływów. Zrezygnowano więc z tajnych rozgrywek na rzecz otwartej rywalizacji.

Próba przywrócenia równowagi pomiędzy poszczególnymi frakcjami w obozie neo-„Solidarności” miała miejsce już latem 1989 roku. Wtedy środowiska lewicy warszawskiej rozpoczęły montowanie rządu w koalicji z „reformatorami z PZPR”. Według Kaczyńskiego:

„Już co najmniej od czasów Okrągłego Stołu wśród naszych znajdowała się grupa, stawiająca na tę prореformatorską frakcję w łonie PZPR i planującą połączenie się z nią w jakiejś formie. Uderzającą była fraternizacja, która nastąpiła podczas rokowań — miała ona, moim zdaniem, ze strony PZPR wyraźny cel polityczny” (tamże, s. 26 - 27).

Kontrapropozycją była idea:

„tzw. małej koalicji z SD i ZSL. Nie miałem wątpliwości, że jest lepsza od tamtej. Omijało się sprawę kompromitacji w oczach społeczeństwa, nieodłącznej moim zdaniem, w przypadku skumania się z PZPR (tamże, s. 27)

Zgoda Wałęsy na ideę koalicji z „reformatorską częścią PZPR” jeszcze bardziej zwiększyłaby przewagę lewicowej frakcji w neo-„Solidarności” grożącej nawet zachwianiem pozycji Przewodniczącego Związku. Dlatego też Wałęsa zdecydował się powierzyć misję prowadzenia rozmów w sprawie utworzenia rządu braciom Kaczyńskim:

„Trzeba w pełni zdać sobie sprawę z tego, jaki był to ewenement. Od ośmiu lat wytworzyła się praktyka, że różnymi sprawami opozycji zajmowały się różne osoby, ale kiedy dochodziło do załatwiania spraw wagi superciężkiej, to w grę wchodziło właściwie tylko Mazowiecki i Geremek, czasem Stelmachowski. Rząd koalicyjny to była sprawa najwyższej wagi, a mieliśmy ją prowadzić ja razem z bratem. Wyznaczenie nas do tej roli ze strony Wałęsy było całkowitą zmianą frontu, wręcz eksperymentem” (tamże, s. 37).

Środowisko lewicy laickiej w pełni pojęło płynące stąd zagrożenie:



„Rozpoczęła się burza. Najpierw zaatakował mnie Artur Balazs, a potem z jeszcze większą furją przystąpił do boju Andrzej Celiński. W tym przypadku rozumiem — prawdopodobnie było mu przykro, że mimo iż był wieloletnim bliskim współpracownikiem Wałęsy, został jednak pominięty. Zupełnie stracił panowanie nad sobą. Ja się w to nie będę wdawał, to jest wielkie śmieszne g... Kuroń i Wielowiejski byli niechętni, ale bez agresji” (tamże, s. 38)

Udzielone Kaczyńskim pełnomocnictwo do formowania rządu było dla nich sukcesem w wymiarze osobistym, było też sukcesem dla ich środowiska politycznego. Dla Wałęsy powodzenie misji Kaczyńskich oznaczało zachowanie pozycji arbitra i utrzymanie kluczowych decyzji w jego rękach, a nie bezwolne patronowanie poczynaniom „konstruktywnej” lewicy. Ale nie na długo. Szybkie

złanie się „familii” ze „świątą” oddaliło tylko odsuwanie Wałęsy od kluczowych decyzji:

„A więc już w chwili powoływania rządu tlił się wyraźny konflikt między Wałęsą a Mazowieckim. Premier wręcz demonstrował wobec Wałęsy, że nie zamierza z nim się liczyć” „Tak więc Mazowiecki sam tworzył rząd, sam tworzył nowe układy i w istocie odsuwał Wałęsę” (tamże, s. 65)

Jeżeli jednak rozpatrzmy sprawę powołania „solidarnościowego” rządu w kategoriach interesu ogólnonarodowego to w zasadzie koalicyjny rząd solidarnościowej lewicy z „reformatorską częścią PZPR” niczym nie różniłby się od rządu Mazowieckiego. Ostateczna decyzja leżała bowiem w gestii Jaruzelskiego. Ten wybrał tę koncepcję, która lepiej zabezpieczała interesy komunistycznej nomenklatury w Polsce. Desygnowanie Mazowieckiego oznaczało, że rolę tę lepiej spełniał jego rząd niż rząd neo-„Solidarności” i PZPR. Tak więc największy osobisty sukces Kaczyńskich można interpretować jako ich największą porażkę polityczną. Rząd Mazowieckiego od początku do końca można określić jako

Wielkie oszustwo.

Przed wszystkim nie był to nigdy „nasz” rząd — ZSL otrzymało w nim 3, SD — 2 a PZPR — 3 teki, w tym ministerstwo obrony narodowej, spraw wewnętrznych, handlu zagranicznego raz transportu i łączności. Mówienie w tym przypadku o jakiś samodzielnych rządach samej koalicji /z ZSL i SD/ jest najwykolejszym kłamstwem skoro żaden z koalicjantów nie zamierzał pozbawić PZPR kluczowych stanowisk:

„Ale ZSL i SD nie chciały nawet słyszeć o takim układzie, żeby PZPR-owi zabierać tamte resorty (MON i MSW- przyp. mój K.B.), nie było tu poparcia” (tamże, s. 56).

Pierwszym zagranicznym rozmówcą premiera „naszego” rządu był szef KGB generał Kriuczkow. Jak wspomina Kaczyński:

„Było to we wrześniu, nie uczestniczyłem w niej, ale byłem wtedy w URM-ie z jakiegoś powodu. Po rozmowie z Kriuczkowem zapytałem Mazowieckiego o jej przebieg, a on mi odpowiedział, że opowie to bezpośrednio Wałęsie. Ambroziak powiedział mi potem, że z tej rozmowy Mazowiecki wyszedł cały spocony i zaraz poszedł na długi spacer. A więc — Kriuczkow — szef KGB — musiał mówić coś nieprzyjemnego dla naszego premiera.” (tamże, s. 63)

Być może pośrednim rezultatem rozmów z Kriuczkowem była stanowcza niechęć do zrywania, nawet symbolicznych, oznak zależności od ZSRS:

„Kiedy przyszedłem do pracy do Kancelarii Prezydenta, zastałem na stoliku spis telefonów rządowych, w których było 26 numerów telefonicznych ambasady radzieckiej, włączonych w sieć. Nawet korespondent „Prawdy” miał telefon rządowy. Oczywiście polska ambasada w Moskwie nie miała dostępu do rosyjskiej sieci telefonów rządowych. To jest po prostu horrendalne, bo posiadając końcówkę, bardzo łatwo można podsłuchiwać, tym bardziej, że były to urządzenia produkcji radzieckiej, czyli sygnały mieli zdekodowane. Był trzeciorderny urzędnik ambasady — nawet nie ambasador, co też byłoby nie do przyjęcia, ale jakiś trzeci sekretarz — miał polski telefon urzędowy...” (tamże, s. 85 - 86)

Natomiast w polityce wewnętrznej obowiązywała zasada „grubej kreski”.

Zaczęła się ona zresztą przed Mazowieckim. Zasada ta była konsekwencją tajnych porozumień zawartych w „Magdalence”. Jej pierwszą ofiarą padła sejmowa Komisja do Zbadania Działalności MSW pod przewodnictwem piosenkarza Rokity:

„W prezydium OKP panowało jednak publicznie głoszone przekonanie, że powoływanie takiej komisji jest bezsensowne. Sam Rokita używał określenia: nieszczęsna komisja. Do dziś tego nie rozumiem. W chwili po utworzeniu komisji spotkałem w Sejmie Michnika i Lityńskiego, rozmawiających na ten temat. Powiedziałem im, że cieszę się, iż mam pewien własny udział w jej powołaniu. Natychmiast stwierdzili, że ta komisja to bzdura [...] Komisja ta nie wprowadziła żadnego przełomu, ale jednak funkcjonuje, zbadała to i owo. Zaspokoila przynajmniej minimum poczucia sprawiedliwości. Działała mało energicznie, ale trudno się temu dziwić, skoro jej szef od początku uważał, że to bezsensowne przedsięwzięcie” (tamże, s. 29)

ciąg dalszy str. 19

WSPOMNIENIE (2)*

Kwietniowe słońce stało już wysoko, kiedy skończyliśmy, dwaj praktykanci, swoje śniadanie. Czas wyruszyć do pracy, bo każdy pomagał swojemu leśniczemu. U mnie teren przyszłej „szkółki” już wyznaczony, pniaki i korzenie wykarczowane, teraz tylko cierpliwe wielokrotne spulchanianie ziemi pod zasiew sosny. Prosta robota, leśniczy może na mnie polegać. Muszę tylko doglądać, by chłopaki i dziewczyny ten kawałek gruntu który tam już raz przekopywali usuwając każdy kamyk czy korzonek. A dopiero kiedy ziemia będzie pulchna już jak w ogródku, nastąpi zasiew sosny. A może i dębu. Dolek zaś pójdzie do wyznaczania kopalniaka. Chleb i butelkę herbaty każdy ma ze sobą, na późny obiad wrócimy tu, do naszej siedziby. Mamy tutaj swój pokój przy nieczynnym od czasu wojny tartaku a u rodziny dawnego mechanika stołowanie. Można żyć. Oczywiście — jeśli niekiedy rodzice przekazowym zastrzykiem wspomogą chudą praktykancką kieszeń... Bo szczególnym zbiegiem okoliczności wszyscy trzej pochodzimy z miast. Nikt nie ma tu w pobliżu rodziny. — Co te kukuruźniki tu robią? — mruknął Dolek już przed domem. Istotnie, nad nami krążył dwupłatowiec z „szachownicą” a w dali, nad horyzontem drugi. — No, cześć! — wsiadłem na rower i ruszyłem boczną, piaszczystą drożką. Jeszcze kątem oka spostrzegłem dwie wojskowe ciężarówki pędzące szosą od Sandomierza do pobliskiego Staszowa. Minąwszy ostatnie zabudowania, na łąkach pod lasem spotkałem starego Bublika. Z daleka można było go rozpoznać: niewysoka beczułka w starym, wystużonym mundurze, zawiesziste wąsy i krzaczaste brwi, torba i trąbka przy boku jako nieodłączne insygnia. Był jednym z gajowych — jak i jego ojciec, dziad i pradziad — w tutejszych dobrach Radziwiłłów. A kiedy pałac w Rytwianach wraz z polami, lasami, gorzelnią, tartakiem i czymś tam jeszcze zabrano państwo, stary Bublik mimo siedemdziesiątki na karku niestrudzenie wykonywał swoją pracę gajowego. Bo bez lasu żyć by nie umiał. Smętnie tylko głową kiwał widząc na polach gospodarkę PGR-ów w miarę wykarczowania się dawnych kadr. Uważał, że trzeba zachować, ile tylko można z nadszarpniętych wojną drzewostanów, czyścić i podsadzać. Nie według jakichś tam ruskich wzorów, o których trąbił na odprawach, ale według wypróbowanych sposobów. Pół roku stał tu front, całe miasteczka ziemianek w lesie, piły tartaczne tamiały się na odłamkach w drewnie — prawda. Ale las przeżyje nas byle nie dobiła go ludzka głupota. I tu stary Bublik lubił opowiadać jak to do pomocy w sąsiednim nadleśnictwie dyrekcja przysłała adiunkta. Gorliwy partyjniak i napompowany teoriami. Łatwiej by z głębem kapuścianym się dogadać. Wziął ze sobą gajowego, znajomego Bublika i poszli w las do szacowania posuch. Łazili po śniegu aż doszli tam, gdzie liściasty drzewostan przetykały liczne stare modrzewie — chluba leśnictwa. Tu adiunkt aż zakpiął świętym oburzeniem: co za porządki, tyle posuch sosnowych?! Nie było komu tego jak najszybciej na szczapy usunąć??? I rym, rym, rym cechówką pod wyrąb! Typtał na to oczyma stary gajus i milczkiem uśmiechnął się — co głupiemu po rozumie? Ani to nie wie, że modrzew zimą igły zrzuca, ani po korze nie rozpoznaje... I dopiero w nadleśnictwie leżącemu z gorączką „staremu” opowiedział, jakiego pomocnika mu przysłało. Ten aż za głowę się złapał. Nie można — powiedział — tak zwyczajnie go spławić bo ma drań mocne plecy i może świntuszyć. Lepiej go stąd wystraszyć bajkami, wiecie sami jak, panie Antoni: o kłusownikach, bandziarach, wściekłych wilkach...

— Darz bór, panie Bublik! — zsiadłem z roweru, wyciągnąłem pacykę „triumf”. Zapalił się. Stary uśmiechnął się tajemniczo.

— Stęsz pan, panie Olek? jeszcze nasi walczą...

Istotnie, gdzieś z dala dolatywało charakterystyczne pukanie — to pojedynczo, to seriami. Raz czy drugi wyraźniejsze grzmoty. A samolot nadal w tamtej stronie zataczał swoje koła. Drugiego już nie widziałem.

Ćwiczenia jakie czy co? — zapytałem.

— To nie ćwiczenia. — uśmiechnął się — Jeszcze komuna nie całkiem zapanowała nad nami. Byle wreszcie tamci Anglicy i Amerykańcy rozumu nabrali... Zastanowiłem się. Gdyby to były manewry wojskowe na terenie nadleśnictwa, uprzedzono by służbę leśną zawczasu. Lubiał stary gajus pokpiwać z durniów miejających, z uroczystych matołów, opowiadać niesamowite dyrdymałki. Ja z początku też bywałem ofiarą żartów, ale dziś jestem nie zielenia-

kiem, a swojakiem. Zresztą Bublik nigdy nie traktował w swoich żartach tego, co głęboko szanował: Boga, pamięci nieboszczyka księcia i walki o wolną Polskę.

Były tu duże kompleksy leśne, w pogodny dzień na horyzoncie widniały góry Świętokrzyskie. No i światek zabity deskami, wąskotorówkę ze Staszowa do Jędrzejowa według rozkładu trzeba było jechać 7 godzin. Bo to 1-2 wagony osobowe przy pociągu towarowym, dwa razy na dobę... Rozmach operacji świadczył, że nie jest to akcja milicyjna przeciw jakiejś bandzie rabunkowej napadającej plebanie i zamożniejszych chłopów. Po wojnie porzucone broni było pod dostatkiem, mieli ją więc kłusownicy i paruosobowe bandy kryminalne. Ale tak jedni jak drudzy działali na bardzo małym terenie, gdzie znali każdy kamień. Dalej niż 6-7 kilometrów od swych chałup czuli się niepewnie. Brutalni wobec bezbronných starannie omijali wszelkie obiekty pilnowane przez uzbrojonego strażnika. Sukcesy takich miejscowych szakali były krótkotrwałe, bo wiedzieli sąsiedzi, co w kim siedzi i gnębiona ludność zwracała się do milicji. Zabierano ich z domów bez pomocy



samolotów i wojska. Ale partyzantka teraz, wiosną 1949 roku, w cztery lata po wojnie?

— Lepiej nie chodź pan dziś w teren, można oberwać. Od świtu jestem na nogach, widzę co się dzieje. Żniwa bezpieki. Łapią każdego, kto się nawinie, biją i w samochód. Widać, trzeba im dużej liczby do statystyki, do zasług, swołoczom... A co wy tam robicie, szkółka? I tak ludzie do roboty dziś nie przyjdą, jeszcze by ich z samolotu oszczelali, niby jako leśnych.... Prowadząc rower doszliśmy do siedziby nadleśnictwa. Przed wejściem stał „gazik” wojskowy, a nadleśniczy zamknął się w swoim gabinecie z jakimś oficerem i cywilami. A w biurze wszyscy siedzieli cicho jak myszy pod miotłą. Bublik po chwili poszedł do mieszkania woźnego.

— Co się dzieje? — zapytałem rachmistrzynię Nelę.

— Symuluj pan tu jakąś robotę, byle nie w teren. Stary musi tłumaczyć, że zające to nie wielbłądy, bo potapali naszych robotników kiedy szli do pracy. — odpowiedziała półgłosem. Podał mi jakieś stare bruliony odbiórki ze zrębu i tabele kubatury drewna. Wymknąłem się na chwilę z budynku i za jego ślepą ścianą wszedłem w gęste maliny. Tu nikt mnie nie widział. Wyjąłem z kieszeni moją szóstkę FN i schowałem pod kamieniem. W razie rewizji, co najmniej pięć lat, a z pistoletu bez amunicji żadnego pożytku. Ale przywiązałem się bardzo do tej „belgijki” i traktowałem ją jak amulet. Ostatecznie można było postraszyć tam jakiegoś zawałidrogę, durnego kmiotka. Broni służbowej leśnicy nie mieli, każdy z kijem po lesie łaził. Wróciłem do biura dyskretnie dopinając spodnie — niby to musiałem wyjść za potrzebą naturalną, a ubikacja była zajęta. Zatopiłem się w powtórnym wyliczaniu metrażu dawno już zdanego na tartak drewna. Inni w milczeniu też pracowicie „siali lipę na papierze”. O normalnej pracy w tym napięciu nie można

było myśleć. Wreszcie wyszedł nadleśniczy i w obecności ubeków przemówił do personelu.

— Jeszcze raz przypominam, że każdy obywatel ma obowiązek niezwłocznego powiadomienia organów bezpieczeństwa publicznego o wszelkich znanych sobie przejawach działalności przeciwko władzy ludowej. Dotyczy to szczególnie nas leśników, bo w codziennym życiu i pracy możemy zetknąć się nie tylko z przykładami postaw reakcyjnych ale i z działalnością band faszystowskich. To właśnie nas, leśników, bandy terrorystyczne mordowały tak samo jak milicjantów, aktywistów partyjnych, członków ORMO i UB. Oto na naszym terenie trwa likwidacja takiej bandy którą tu wytropiono w ucieczce. Gdyby jednak ktokolwiek zauważył jeszcze coś podejrzanego, a nie zawiadomił władz, będzie winnym zatajenia i traktowany jako współwinnym bandytów. Bo na naszym terenie banda może mieć swoich współników. Posłyszawszy warkot odjeżdżającego „gazika” odetchnęliśmy z ulgą. A wracając po odprowadzeniu tamtych, nadleśniczy mruknął:

— Siedziacie tu do fajrantu a później prosto do domu! - i zniknął w gabinecie. Do fajrantu było parę godzin. Skończyło się milczenie, omawiano wydarzenia. Ale niewiele, prócz wyjaśnień o zatrzymanych nie wiadano. Ja myślałem o tych słowach nadleśniczego, że „bandy terrorystyczne” mordowały leśników. Czy on w to wierzył czy dyplomatyzował wobec ubowców? Bo nadleśniczy był partyjniakiem i lubił popisać się gorliwością. Chciał z nas trzech praktykantów utworzyć tu trzon ZMP, a mnie chciał zrobić przewodniczącym. Ale wykręciłem się od tego zaszczycu. Oto przeczytałem w gazecie o potrzebie czujności klasowej, bo coraz więcej zakapturzonej reakcji usiłuje wleźć do partii i jej awangardowej organizacji młodzieżowej. Więc on by się uśmieiał ze Związku Młodzieży Polskiej, gdybym ja tam był, którego ród z nad Dniepru a pochodzenie społeczne mocno nieciekawe. Ja proponuję Leonka, każdy wie, że to szczerzy proletariusz. Nadleśniczy ni to się skrzywił ni to uśmiechnął słysząc imię znanego w okolicy przygłópska ale więcej już nas do ZMP jak małego Jasia na lewatywę nie namawiał. Ale z tym mordowaniem leśników to bzdura. Mordowali ich niekiedy pospolici krymanaliści, kłusownicy i drewnokradzy. Ale zdecydowana większość służby leśnej, tak państwowej jak i majątków prywatnych, współpracowała tak w czasie ostatniej wojny jak i w dawnych powstaniach właśnie z partyzantami. Dobrze o tym wiedziała nowa, czerwona władza nie dając leśników zaufaniem i traktując jak złó konieczne. Z wyjątkiem nadleśniczego i nas, trzech praktykantów przedszkolnych, cały terenowy personel składał się z członków tutejszych rodów leśników. Syn gajowego brał zawód po ojcu i żenił się z córką leśnika choćby z dalszej okolicy. Niezwykle rzadko do tego zamkniętego klanu wchodziła kobieta z innego środowiska. Było to uzasadnione specyficznym trybem życia. O ile dla rolnika zima była sezonem wypoczynku, dla leśnika była okresem intensywniej pracy. Rolnik miał roczny cykl produkcyjny, leśnik ścinał drzewa które sadzono w czasach jego dziadka. Te różnice rzutowały na mentalność i sposób bycia. Zaś panna z miasta wychodząc za leśnika, ocarowana lasem w lecie, uciekała zmęczona monotonią zimnej połowy roku. Wśród rodzin leśników jak i między oficjalistami majątków, było sporo potomków zubożałej szlachty. Były to rody patriarchalnego typu, zachowujące stare tradycje. Natomiast wśród chłopów najczęstsze były rodziny matriarchalne, w każdym pokoleniu zmieniające nazwiska według wchodzących do rodziny mężczyzn. Krewni ze strony matki byli tam uważani za bliższych niż ci ze strony ojca. Pojęcie zaś rodu było nieznane, a pamięć rodzinnych powiązań nie przekraczała poprzedniego pokolenia. Chłop w chacie zdominowany przez żonę, teściową, ich krewnie i sąsiadki, nie mając wiele do gadania szukał azylu w karczmie. Choć środowisko tutejsze było tak zróżnicowane, podczas II wojny światowej silnie była tu rozwinięta partyzantka i konspiracja. Dwie wsie: Stróżki i Wiśniówka zostały niemal doszczętnie zniszczone przez hitlerowskie ekspedycje karne, a w lesie, w dwóch mogiłach leżało całe weśle, 50 osób. Po prostu Niemcy przyjechali niespodziewanie, otoczyli, zabrali wszystkich razem z dziećmi, wywieźli w las i rozstrzelali. Nikt jednak nie wiedział, gdzie są mogiły Żydów ze Staszowa, których Niemcy wywozili do lasu. Kiedyś gajowy Szaniewski pokazał mi dwie zapadnięte mogiły powstańców z 1863 roku. Wiedział o tym z tradycji, bo nawet krzyża tam nie było. Wiele też było w lasach mogił z obu wojen światowych, były i zapomniane mogiły partyzanckie. Nic dziwnego, że po okolicznych wsiach pełno było opowieści o zjawach i widmach w tych lasach. Były tam „złe miejsca” które nawet w dzień ludziska

woleli omijać, zaś nocą najwięksi zwiadowcy - bohaterowie bójek na zabawach nie ośmielali się tam zbliżyć. A jeśli właśnie tam są ukryte bunkry starannie otoczone niesamowitą legendą? Lepiej tej legendy nie rozświecać... Ale żeby stąd na Kielecczyźnie były oddziały leśne? I wreszcie zasiedliśmy z Dolkim do obiadu. Wszyscy byli mrukliwi. Nawet Irka, córka gospodarza domu, dziewczucha, której żaden pies by nie przeszczeptał, tym razem patrząc przez okno na ciężarówkę wojskową odzywała się monosylabami. Dopiero w naszym pokoju pogadaliśmy z kolegą swobodniej. Widząc obławę zaszedł do znajomego wozaka i w jego chałupie parę godzin przesiedział. Niewiele tam wiadano, obława rozwinęła się gdzieś daleko. Jednak widok mundurów w ciężarówkach i samolotów nisko krążących przypominał chłopom hitlerowskie pacyfikacje sprzed kilku lat. Na wszelki wypadek kobieta co cenniejsze wyniosła z chaty do pobliskiego zagajnika - rower, zegar, nowy kożuch... Opowiedziałem Dolkowi, co sam słyszałem, z przemową nadleśniczego włącznie. Siedzieliśmy w zadumie aż po chwili trącił mnie ręką i wskazał drzwi.

— Ta-ak... co z tego, że gębusia ładna, kiedy nogi na bęcze prostowane? - gadał idąc przez sieni.

— A może dzieciak w drodze i taty szuka? Może myśli, że Andrzej już leśniczy? - wszedłem w temat. - Wiadomo jak taka umie zagrać w mężołapię...

Tak gawędząc usiedliśmy na kłodzie w końcu dziedzińca. Wokół było pusto.

— Wiesz, Olek, tak myślę... zmrok niedługo. Może tam jakiś ranny skrył się i potrzebuje pomocy? Wziąć z naszej apteczki, co trzeba do opatrunku, chleba i słoniny kawałek... tamta zgraja już odjechała...

Ja też o tym myślałem. Zdążyłem jednak sprawę rozważyć szerzej.

— To nie taka prosta sprawa. Taki ranny wie, że choć bezpieka i KBW odjechały samochodami, choć samolotów już nie ma, to w całej okolicy napuścili zgraję szpicli. Przez parę dni ta psiarnia wódczy się będzie po wsiach, lasach i polach. Będą wzywać i prowokować by znaleźć jakiś ślad. My, oczywiście, do lasu możemy iść w dzień czy w nocy, w razie potrzeby możemy udawać, żeśmy poważnie przyjęli to wezwanie do czujności obywatelskiej. Tak... ale taki ukryty ranny gotów wiać ciebie za szpicla i strzeli w teb ani się obejrzyś... A później zrobią ci pogrzeb propagandowo - młody praktykant ofiarą reakcyjnej bandy. Nie, specjalnie szukać nie można. Jeśli ta grupa miała swoich ludzi gdzieś w tej okolicy, to się wzajemnie rozpoznają. A my tylko w najbliższych dniach bierzemy ze sobą w teren więcej jedzenia i opatrunki z apteczki. Na wypadek przypadkowego spotkania. - powiedziałem. Ciężko nam było na duszy. Wróciliśmy do swego pokoju, a wkrótce przyszedł Andrzej. Od paru tygodni siedział na wakującym leśnictwie o 6 kilometrów stąd, na skraju cywilizacji gdzie diabeł dobranoc powiedział. Co kilka dni odwiedzał nas spragniony nowin ze świata. Za pociechę miał dobry bimber pędzony przez sąsiada, wyjątkowego specjalistę. I tym razem przyniósł flaszkę. Chronicznie rzygaczki można dostać od takiej strawy duchowej - rzucił na parapet okna broszurkę z biografią Bieruta. Dał nam to nadleśniczy byśmy nie byli zacofani ideologicznie.

— I co, czytałeś już jak urodził się w Nogawkach Jezuićkich? - spytałem.

— Mniejsza z tym, gdzie go ciotka z litości porodziła, w rurach jezuićkich czy nogawkach, ważne tylko gdzie go i kiedy powieszę. - skomentował Dolek. Zapaliłem naftówkę i zasłoniłem okno. Andrzej nalał bimbru do szklanki. Półgłosem omawialiśmy wydarzenia dnia. Ale i Andrzej mało co wiedział, bo ludzie których po drodze spotkał nic istotnego nie umieli powiedzieć. Nazajutrz była zwyczajna robota w lesie. Szkótkę robili ludzie z wiosek odległych od miejsca walki. Wiedzieli tylko, że bezpieka zaczęłała przechodniów na drogach, a że chłop nie nosi ze sobą dokumentów, to niejednemu miał kłopoty z wykazaniem swej tożsamości. No a teraz jacyś obcy kręcą się po okolicy i wyciągają ludzi na słówka... Po pracy siadłem na rower i pojechałem do Staszowa z torbą na zakupy. Zatrzymałem się w rynku przed znajomym sklepikiem gdzie - jak przed wojną kupowaliśmy „na książkę”. Przy wypłacie regulowało się należność.

— Cześć panie leśnik! Zapraszam na kielicha. - nieznamy facet wskazał pobliską knajpkę. - Może pan wie jak z budulcem?

— I co, pod gazem na rowerze mam jechać? Informacje w nadleśnictwie! - odpowiedziałem krótko i wszedłem do sklepu.

— Ładnieś go pan spławił, panie Olek - sklepikarz uśmiechnął się - To jeden z wilków. Pełno ich się tu teraz szwędą, wciągają ludzi w rozmowy a później wrabiają dziecko w brzuch...

— Co tu słysząc, panie Kaźmierski?

— Co słysząc? W szpitalu pełno rannych bezpieczniaków, osobno ich trzymają. Wielu z nich to ponoć robota dobrego strzelca co ze strychu grzał w nich póki sam nie zginął. - mówił półgłosem. - Ale gdyby wszystkich wzięli czy zabili, to by teraz tak nie węszyli. - Nie wiedział, jaki to był oddział leśny. Podobno nie tutejszy. Ale choćby i z tutejszych ludzi, to lepiej tak mówić... A kogo bezpieka przesłuchiwała i puściła, to tera, obity, z domu nie wychodzi. Zrobiłem zakupy, rozliczyliśmy książkę. Wychodząc zapytałem widząc na środku rynku świeżo wykopaną, ogromną jamę - co to?

— A to, panie Olek, to będzie kocioł. Jak już zrobią tą wspólnotę, znaczy kotłochozy, tutaj będą gotować kartofle dla wszystkich. - uśmiechnął się. - A komu nie nada, że w łupinach może nie jeść. - W parę dni później nasza trójka rozjeżdżała się na święta. Każdy miał do domu szmat drogi, a płatni byliśmy dniówkowo, więc prócz dwóch dni Wielkanocnych, mogliśmy mieć nieco bezpłatnego urlopu. Po drodze zatrzymałem się w Radomiu. W tym mieście przeżyłem większą część wojny, miałem tu krewnych i kolegów. Zatrzymałem się u stryja który po wojnie z Łucka tu się przeniósł. Na widok mundurów czapki stryjka w pierwszej chwili miała wystraszoną minę. Codziennie opłakiwała syna jedynaka, którego w 1940 roku NKWD zabrało na zagładę. Poznawszy mnie rozpogodziła się. Jednak widać w niej było nieufność do wszystkiego i wszystkich. Stryjek chyba dziś później z pracy wróci, ma jakiś bilans. Wobec tego zostawiłem plecak i ruszyłem w miasto. Od rodziców Radzika dowiedziałem się że studiuje on w Warszawie, a Mietek w Krakowie. Natomiast Sylwek z naszych kompletów gimnazjalnych, ten chłopiec - roztropek, ześwinił się i do bezpieki wstąpił. Później dowiedziałem się, że i Włodek Duleba, niegdyś kolega z siódmej klasy, też w bezpiece służbę pełni. Wreszcie spotkałem Wieska, niegdyś kolegę z powszechniaka. Rodzice jego już nie żyli, mieszkał samotnie. Zaszliśmy do jego mieszkania.

— Więc jeszcze się w lasach coś dzieje? Desperaci... W czasie wojny była jeszcze nadzieja, a teraz? Ot, wiedzieli, że byłem w Szarych Szeregach to zrobili u mnie rewizję. Całe mieszkanie przewrócili, a ja miałem duszę na wylocie. Ale skrytki z pistoletami w wałku kłanę nie znaleźli. Oczywiście, teraz nie trefnego u mnie już nie ma. A wiesz, że profesora Bulczyńskiego, tego co was uczył na tajnych kompletach gimnazjalnych, nie ma już na tym świecie? Przedwojenny prawnik, więc krótko po wojnie NKWD zabrało go i wywiozło. Ktoś z tagrów wrócił i mówi, że Bulczyńskiego w kopalni węgla zginiotł... - opowiadał powoli Wiesiek.

— To stamtąd ludzie wracają? - zdziwiłem się.

— Zupełnie wyjątkowo. Kto ma mocne znajomości i kogo stać na to. Albo ci, co z jakichś tam względów komunie są tu potrzebni. - Zostawiłem Wieskowi trochę szmuglowanego tytoniu w liściach i idę dalej. Zachodzę do kuzynki matki, parę lat starszej ode mnie „nowoczesnej ciotki”, jak ją kiedyś nazywałem. Dostałem po łbie za nazywanie jej przy ludziach ciotką i wypiliśmy brudenszafta. Dzielną dziewczyna. Dzwonię. W drzwiach obok stoi Kryśka, jej współlokatorka. Patrzę na mnie jakieś zmieszane. To samo co u stryjki. Raptem Kryśka woła:

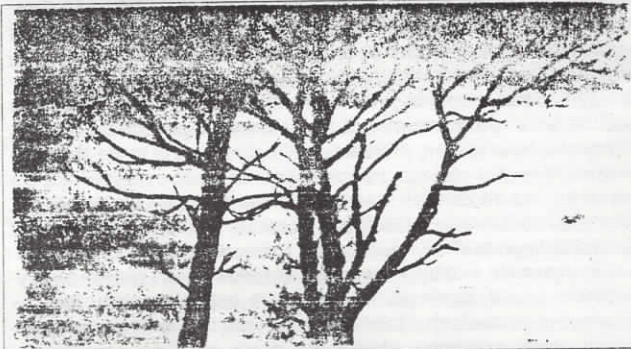
— Ach, to ty czarcie! Właż, wlaż żywo, ale zwal tą czapę!

Cóż, mieszcuchy nie rozpoznają tak łatwo czapki leśnika od tej groźnej. U Krystyny jest akuraty jej narzeczony. Ona była podczas okupacji w wywiadzie AK, więc teraz bezpieka próbowała zrobić z niej swoją szpiclówkę. Wywinęła się od tego ale ma ciężkie życie. Czy naprawdę jedynym wyjściem może być wstąpienie do PZPR? Albo do judaszowskiego „Pax”-u? Na trzecią wojnę nie ma co liczyć, zachodni sprzymierzeńcy sprzedali nas bez skrępow. Rozgłośnia Wolna Europa to wynik zwyczajnej kalkulacji Amerykanów: mniej kosztują ich miłe słówka niż utrzymywanie jednej dywizji. Niech komuna ma trochę kłopotu na swoim podwórku byle żaden anglosaski żołnierz kropli krwi nie stracił.

— Naszą koniecznością jest przetrwać, nie dać się wyniszczyć fizycznie ani wyjąłować psychicznie. Każdy wróg niszczy inteligencję, pozostawia zaś zastraszoną i apatyczną masę roboczą. Czy Sowiety są wieczne? Oczywiście, że nie. Stalin też nie wieczny. Trzyma u siebie wszystko za mordę, zachodnich głupców za nos wodzi ale i jego diabli wezmą. Zrobi się wtedy zamęt, walka o spadek i to jest nasza szansa: albo dojdzie do tej trzeciej wojny,

albo Sowiety rozpadną się na małe państwa pod rządami choćby dotychczasowych pomniejszych kacyków. A teraz z kijem na czołgi nie pójdziemy, politykę zawieśmy na kołku. Społeczeństwo jest zmęczone, naród wykrwawiony. Komuna chce wyłowić wszelką potencjalną opozycję więc nie dajmy się sprowokować. Żadne państwo nie może istnieć bez fachowców z przemysłu, transportu, czy budownictwa choćby. A kogo potrzebuje, tego nie wyniszczy. Nie kostium ważny ale to co w nim... - tłumaczył narzeczony Krystyny, inżynier z zawodu.

— Nie wiem, czy im tak rzeczywiście na fachowcach zależy jeśli zaufanych durniów po symbolicznym kursie robią dyrektorami. - Ale nie pora już na czynny opór, szkoda krwi. Kto był zupełnie spalony, to już wyjechał gdzieś do Szczecina, Olsztyna czy Wrocławia. W tamtejszej mieszaninie łatwiej się zagubić i żyć na lewe papiery jako jakiś repatriant z Grodna... - powiedziała Kryśka. Stryjek przy kolacji był tego samego zdania - szkoda ludzi i ich daremnego bohaterstwa. Czerwona bestia tylko szuka pretekstu do masowych represji. Zniszczy ona nawet większość narodu, aby przerażona reszta była ślepo posłuszna. A ot - miliony ludzi głodem na Ukrainie wygubili, tajdaki. A co tam w Łucku działo się... Łuck był przecież przed wojną w Polsce, tu wtedy o tym głodzie tylko w gazetach pisano. Ale jak w trzydziestym dziewiątym przyszyły czubaryki, to też pokazali, do czego zdolni... Przenocowałem u stryjostwa i rano pożegnałem się. Mając parę godzin do pociągu odwiedziłem jeszcze panią Józefinę. Szczęśliwie zastałem ją w domu. Siwe włosy,



energiczne ruchy, szczera bezpośredniość. Pielęgniarka z zawodu, konspirantka z powołania. Małe jej mieszkanko zawsze było punktem kontaktowym, dorywczym miejscem schronienia, centralną informacyjną. Ubeki zawzięcie węsząc wśród młodzieży nie domyśli się, kim może być ta samotna pięćdziesięcioletnia kobieta. A pani Józefina lubiła mnie, bo ponoć byłem podobny do Zawoja którego, bezpieka zamordowała w Kielcach.

— Wchodź, wchodź młodzieńcze. Jesteś głodny? Nie? To choć herbatę sparz. Dobrze, żeś przyszedł bo tu pusto się robi. Ja wieczorem wróciłam z gór, bo cały turnus dzieci do prewentorium na Dolnym Śląsku zawiozłam. Cholery nie ma na tych złodziejów korony polskiej! Wszystkie wspaniałości w propagandzie a po prawdzie, to żal było te dzieciaki w taką biedę przywozić... - zrywała się z oburzeniem. Przy herbach wymieniliśmy nowiny. W Radomiu panowało przygnębienie. Ci, którzy niedawno działali w konspiracji, teraz urządzali się gdzieś na Ziemiach Zachodnich. Dzięki wzajemnej, koleżeńskej pomocy była szansa przetrwania w szarym, drobnomieszczańskim życiu. Gorzej wyszli ci, co to kiedyś nabrali się na piękne apele do ujawnienia. Że to niby coś to rozlewu krwi, wszystkie ręce do odbudowy kraju, że pojednanie... Trałili to na wszystkie sposoby to i wielu ludzi zmęczonych, wyczerpanych uwierzyło. A bezpieka cicho czekała. Cicho, do czasu. A kiedy już wszyscy naiwni się ujawnili, bezpieka miała ich w garści. Odczekała jakiś czas i rozpoczęła swoje żniwa. Łapała ich systematycznie, zamykała i wrabiała we współpracę z hitlerowcami albo szpiegostwo. I znowu więzienia pełne. A jak kto w porę uciekł to za granicę nie przejdzie, już nie te czasy. Może jedynie mścić się, drogo sprzedając swe życie. Nawet ci akowcy co po wojnie już nie działali, też mają ciężką dolę. Nie daje im komuna spokoju, stale życie zatruwa, wmawia niesamowite brednie.

— Nigdy, nigdzie i w niczym nie może wierzyć czerwonym. Choćby przysięgali na tego swojego wypchanego Lenina, co go w Moskwie jak bożka pokazują. Bo oni wszyscy, złodzieje korony polskiej, od diabła pochodzą, jednego diabła warci. I dotąd nie ma kary na nich. Popatrz tylko - zaraz po froncie można było ich na

palcach policzyć. Wańka ich tu wprowadziła, bez kacapskiej łaski jednego dnia by się nie utrzymali. A teraz? Wyłazi z nor i spelunek robactwo do koryta. Złodziej, alfonsy, wszelkie szumowiny. Do partii, do bezpieki jeden za drugim. Żeby to nie były ofiary sanacji, burżuazji... Zwęszyli, gdzie takich jak oni potrzebują, gdzie zrobią interes. A bezkarność rozzuchwala. Bo gdzie pójdziesz ze skargą na bandziora, do jego herszta? - mówiła kiwając głową.

— Pani Józefino, nie wie pani gdzie znaleźć naboje do szóstki? - przypomniałem sobie. Zdjęta z komody koszyczek. W nim kłębki włóczki, szydełka.

— Może tu co znajdziesz. Zostało po chłopcach. Nie ma ich już... Pod przyborami do kobiecych robótek cała kupa amunicji pistoletowej. Były tam dziewiątki do visa czy empi, wiele pepeszówek, parę siódemek zwykłych i długich naboji do nagana a nawet grubas - jedenastka. Ale do szóstki nic. No trudno.

— Będę pamiętać, jakby się co znalazło. Pistoletu się nie pozbywaj. Przyjdzie jeszcze kiedyś czas, przyjdzie. Za to wszystko... żeby tak rozwalić choćby kilku najgorszych zbirów i szpicli, inni by się pohamowali... Tak jak było za niemieckiej okupacji - rozwalili konfidenta, ostrzygli babę, co się ze szwabami puszczała i pomogło. Odechciało się judaszowskich srebrników innym, bo podłość nie dawała profitu. A dziś... Społeczeństwo bezradne, świni coraz więcej... Trzeba by znów tajnych sądów i wyroków, to by psiania z podkulonym ogonem do budy uciekała. Ale trzeba to mądrze, na chłodno, bez gorączki prowadzić... Bo w lesie nikt się już nie utrzyma i tylko żal tych od Staszowa, o których mówiłeś. - Szedłem już do dworca w zamyszeniu, kiedy ktoś mnie trącił w ramię. Dawny kolega, Mietek. Ojciec jego był przed wojną działaczem PPS, w czasie wojny przyszła wiadomość, że jest na Zachodzie. Mietek studiował medycynę, teraz na Wielkanoc przyjechał do matki.

- Co, leśnikiem zostałeś? Odprowadzę cię do dworca. Idąc wspominaliśmy wydarzenia naszego młodzieńczego świata, kolegów i belfrów. Naturalnym trybem doszliśmy do tematyki aktualnej.

- Trzeba z żywymi naprzód iść, jak to mawiał Asnyk. Trykanie głową w ścianę nie da nic, poza rozbitym łbem. W każdej kabale można się urządzić. Jakbyś w wańkę - wstańkę rzucił, zawsze się podniesie. Ale zobacz chorągiewkę, żaden wicher jej nie zerwie, bo w porę się obraca. Tak i teraz z nami, Jałta, Poczdam, sam wiesz... Żaden Don Kichot nic tu nie zdziała. Dura lex sed lex. Trzeba myśleć jakie korzyści mogą być z tego co jest. - mówił ze swoim dawnym ironicznym uśmiechem - Jakie korzyści? De publicis czy de privatis? - zapytałem.

- Och, jedno z drugim może iść w parze. Bohaterowie dawno ziemię gryzą, a Wallenrody mają pierwowzór od wieszczą narodu. No i już dworzec. Ale, ale... w razie czego pamiętaj, że mój ojciec zginął we wrześniu na wojnie, bo ja teraz szukam jego grobu. Tak trzeba i szlus!

Z ulgą go pożegnałem. I znów monotonnie stukają koła, sapie parowóz. Stoje w tłoku na korytarzu. Może w Warszawie, na przesiadce znajdę miejsce siedzącego? A tam na szczęście dopiero pociąg podstawiają za godzinę. Udało się, siedzę. Trzysta kilometrów jeszcze... W głowie kłębią się myśli. Dlaczego starzy, nie znający się ludzie, Bubik i Józefina są twardsi od wielu młodych? Czyż nie ma tamy na rozlewającą się powódź zgnilizny? Zmrok dawno zapadł, a rytmiczny stukot usypia. I słyszę jak koła wystukują piosenkę którą nuciła pani Józefina: O cześć wam - czerwoni panowie - za czułą nad nami opiekę - o cześć wam za zdolność w piśmie i słowie - o cześć wam za waszą bezpiekę... A więc co, kontrterror? Ale z kim? Z chętnymi, lekkomyślnymi choć pełnymi zapału chłopcami ze świeżej daty konspiracji? Tylko by zastug i awansów dodali ubewiakom... Nic by takim chłopcom nie pomogła najlepiej nawet obmyślana struktura konspiracyjna, chcieli by odgrywać bohaterów w otoczeniu... Stukoczą koła, sapie parowóz, za oknem uciekają światła...

Olgierd ZARUDZKI

* Pierwszą część wspomnień Olgierda Zarudzkiego publikowaliśmy w n-rze 5-6 (273-274)

ciąg dalszy ze str.14

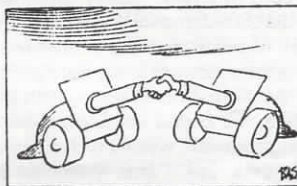
Sam Mazowiecki, mimo teatralnych póz i gestów, nie miał świadomości dokonującego się wokół niego przełomu:

„Wracając do propozycji, jakie dostałem od Mazowieckiego. Wszystko to raczej mnie śmieszyło, ale interesująco ujawniało się tu stan umysłu Mazowieckiego. Ciekawe politycznie było traktowanie jego własnej roli, to mówienie „może Jaruzelski się zgodzi”, albo „wstawimy nogę”. Widać było, że jest premierem, ale nie ma w nim samym poczucia przełomu; przeczuwałem, że wszystko teraz się będzie „samo” dokonywało, poza większym wpływem solidarnościowym. To był ten sam typ myślenia, jak przy Okrągłym Stole. Wtedy Mazowiecki tłumaczył nam, że w gruncie rzeczy chodzi tylko o to, żeby na nowo powołać „Solidarność” jako związek zawodowy, może utworzyć jakąś wspólną komisję z rządem, że wchodzenie do Sejmu nie ma żadnego sensu. On wyraźnie nie wyczuwał, jak gwałtownie wszystko się zmienia” /tamże, s. 63/

To wyraźne blokowanie przemian doprowadziło do sytuacji, którą można określić jako -

Wojna na górze

Nienaruszalność sfery wpływów komunistów ograniczała sferę wpływów, która mogłaby stać się przedmiotem podziału pomiędzy poszczególnymi frakcjami „Solidarności”. Przewaga frakcji lewicowej blokowała kanały awansu innym grupom. Gdyby podział sfer wpływów wewnątrz „Solidarności” dokonywał się mniej więcej równomiernie, konflikt zostałby rozładowany w rywalizacji wewnątrzfrakcyjnej. Ponieważ do tego nie doszło, monopol lewicy zaczął zagrażać nawet pozycji Wałęsy, doszło do wyodrębnienia nowej formacji politycznej. Hasło „przyspieszenia” oznaczało w tym przypadku zwiększenie puli wpływów /kosztem komunistów/ do podziału, a w tym poprawę pozycji Porozumienia Centrum. Gdyby natomiast pozycja komunistów była nienaruszalna, hasło „przyspieszenia”, by dać pożądane efekty, musiałoby zostać zastąpione zwiększoną ugodowością. Tylko ta postawa bowiem zapewniałaby zwiększone wpływy przyzwoleniem PZPR. Na szczęście do tego nie doszło i stronnictwa polityczne nie musiały prześcigać się w serwilizmie lecz radykalizmie.



Z drugiej natomiast strony układ z monopolistyczną przewagą jednej formacji politycznej byłby szalenie niestabilny. Stan wojny na górze przyznając poszczególnym ugrupowaniom zwiększoną pulę wpływów, zwiększał zarazem stabilność układu marginalizując opozycję niepodległościową.

„Muszą istnieć siły zdolne absorbować niezadowolenie, ale mimo wszystko skłonne do reform. Jeżeli się zaprzec, że my tu razem, ze sztabem Solidarności na czołe, najwyższe autorytety moralne [...] po prostu doprowadziłyby to do momentu, w którym wszystko zostałoby zmiecione przez bunt społeczny” /tamże, s. 112/

„Ale nie jest prawdą, że jeżeli odsunęło się od władzy elity komunistyczne, że już zostały tylko opozycyjne. Choćby „Solidarność - 80” — ostatecznie zarejestrowana teraz we wrześniu — jest typowym przykładem organizacji, która mogłaby łatwo wziąć w żagle ten wiatr niezadowolenia. Niedawno był strajk Wolnych Związków Zawodowych Anny Walentynowicz w Stoczni Gdańskiej; otóż to jest klasyczny przykład na to, że można się organizować nie tylko poza elitami i „Solidarnością” ale nawet poza „Solidarnością - 80”, na jeszcze radykalniejszej płaszczyźnie” /tamże, s. 111/.

Widać więc jasno, czemu służyła „wojna na górze” - służyła marginalizacji niepodległościowej opozycji nie godzącej się na ugodę z komunistami, obniżanie poziomu życia i pozostawanie w stanie zależności od ZSRS. Stan „wojny na górze”, kanalizując niezadowolenie społeczne w bezpieczne dla układu formy, jest bardziej korzystny dla systemu i całej okrągłostołowej klasy politycznej. Pytanie tylko czy na długo? Fenomen Tyński, zatrważająco niska frekwencja w wyborach samorządowych i parlamentarnych zdaje się wskazywać, że społeczeństwo odczuwa sztuczność i bezalternatywność polskiej sceny politycznej.

Krzysztof BRZECHCZYN

SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA W PRYZMACIE AMERYKAŃSKIM - ciąg dalszy

W sierpniowym numerze „Solidarności Walczącej” p. Stefan Buchholz przedstawił czytelnikom historię jego działań na rzecz SW w artykule pod tytułem „Solidarność Walcząca w pryzmacie amerykańskim”. Opierając się na artykule, krajowy czytelnik mógłby wywnioskować, że działania te były raczej mizerne, nie odpowiadające potencjałowi reprezentowanemu przez Polonię USA. Jest więc koniecznym rzucenie dodatkowego światła na ten wybrany aspekt działalności z lat osiemdziesiątych.

Notatka p. Buchholza informuje o dwóch akcjach podejmowanych w latach 1988 i 1990 w Portland, stolicy stanu Maine (nie Main). Naciąganie powyższego pod określenie „pryzmat amerykański” to co najmniej nieporozumienie. Na terenie USA działalność pro-SW była znacznie bardziej zaawansowana niż nalepianie plakatów na samochodzie. Aktywnością w popieraniu Solidarności Walczącej wykazywały się organizacje zlokalizowane głównie na zachodnim Wybrzeżu USA, ale palmę pierwszeństwa na kontynencie północnoamerykańskim należy dać organizacjom w Kanadzie. Nie będąc w posiadaniu szczegółowych danych, będę zmuszony do poinformowania o działalności jednej organizacji, zlokalizowanej w USA.

W najmniejszym stanie kraju, Rhode Island, organizacja prosolidarnościowa powstała w tydzień po ogłoszeniu stanu wojennego w Polsce, w grudniu 1981r. Rok później, Solidarity Support Committee of Rhode Island zostaje członkiem Conference of Solidarity Support Organizations (CSSO), po polsku: Porozumienia Organizacji Popierających Solidarność. Na jednym ze zjazdów CSSO który odbył się pod koniec lata 1986 r. w Lundzie w Szwecji, delegat organizacji nawiązał kontakt z przedstawicielem Solidarności Walczącej na Skandynawię i od tego momentu rozpoczęła się uregulowana współpraca. Komitet z Rhode Island pomagał na miarę jego skromnych możliwości w formie stania informacji, akcji lobby wśród reprezentantów stanu w Kongresie USA, a także pomocy finansowej.

Bardziej docieklwym czytelnikom mogę doradzić wertowanie stron „Solidarności Walczącej” z lat 1986 - 1990 i szukania hasła LOCKWOOD RI w dziale „Dziękujemy”. Organizacja z Rhode Island była też jedną z wiodących przy organizowaniu starań o uwolnienie Kornela Morawieckiego i Andrzeja Kołodzieja. Między innymi dzięki temu naciskowi, duża grupa senatorów amerykańskich wystosowała pisma do władz peerelowskich z żądaniem przywrócenia wolności zatrzymanym. Należy podkreślić, że w okresie organizowania i przekazywania pomocy dla „Solidarności Walczącej” organizacja w Rhode Island nigdy nie napotkała jakiegokolwiek nacisku czy też prześladowań ze strony władz amerykańskich. Korespondencja jak i inne formy kontaktu nie były inwigilowane — także teraz miesięcznik „Solidarność Walcząca” dochodzi w nienaruszonych brązowych kopertach.

Teraz jest to już historia, ale chyba warta głębszego spojrzenia. Wielka kiedyś NSZZ Solidarność całkowicie zignorowała wysiłki tych z zagranicy, kwitując to paroma suchymi komunałami. Kontynuowała SW, Partia Wolności powinna spojrzeć na tę tematykę odmiennie i podjąć starania zgromadzenia informacji na temat pomocy dla SW w latach osiemdziesiątych. Wstyd byłoby, gdyby wysiłek stosunkowo niewielkiej grupy ludzi poszedł w zapomnienie.

25 listopada 91, /Cranston RI/ USA

Jacek ŚIUSAREK

Popieramy apel Pana Jacka Śiusarka o gromadzenie informacji i dokumentacji dotyczących pomocy i działań emigracji na rzecz Organizacji Solidarność Walcząca. Apelujemy do naszych zagranicznych przyjaciół, prenumeratorów i czytelników o nadsyłanie wspomnień — informacji o swoich /organizacji/ działaniach na rzecz pomocy dla SW w kraju. Bardzo przydadzą się one w powstającej właśnie książce — historii SW. Z przyjemnością będziemy je również publikować na łamach SW. Czekamy na wasze listy!

Red. SW

WYDAWNICTWO „WiS” poleca:

skład komputerowy:

druk czarno biały i kolorowy, na papierze, kartonie i folii, prace magisterskie i doktorskie, język niemiecki - tłumaczenia, zaproszenia i druki okolicznościowe, wizytówki w ciągu jednego dnia.

Wydawnictwo „WiS”, ul. Gromadzka 23a, 61-655 Poznań

tel. (0-61) 233-874 (przez całą dobę). ZAPRASZAMY !



Numer zamknięto 01.09.1991 r. Wydawca: Wydawnictwo „WiS”. Redaguje zespół: Krzysztof Brzechczyn, Maciej Frankiewicz, Romuald Lazarowicz, Zbigniew Rutkowski (red. prowadzący). Adres redakcji: 61-120 Poznań 22, skr. poczt. 59. Stałe punkty kolportażu: Poznań — Klub „WiS” ul. Górna Wilda 106, pon-piąt. w godz. 10 - 18, tel. 33-00-91; Wrocław — Biuro Partii Wolności ul. Kotlarska 41 III p., tel. 38-236, Łódź - Klub „WiS”, ul. Próchnika 1, I p. pon - środa 17-18.30.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i zmiany tytułów w nadsyłanych materiałach. Tekstów nie zamówionych nie zwracamy. Prenumerata: półroczna (gwarantuje otrzymanie 6 kolejnych n-rów) — cena 18.500 zł za pojedynczy egz. i 12000 zł za każdy kolejny, np. za 2 egz. 18.500 zł + 12.500 zł. Prenumerata roczna (12 n-rów) — 63.000 zł za egz. pojedynczy i 39.000 zł za każdy kolejny. Przekazy pocztowe (z dokładnym adresem prenumeratora i ilością zamawianych egz.) prosimy kierować na adres wydawcy: Wydawnictwo „WiS”, 61-655 Poznań ul. Gromadzka 23.

Krótką pamięć Pana Redaktora

W „Głosie Wielkopolskim” z 13-14 lipca ukazał się obszerny wywiad z redaktorem naczelnym „Czasu Kultury” Rafałem Grupińskim, pisma które nakładem SW Odział Poznań ukazywało się przez 5 lat w podziemiu /1985 - 1990/. Odpowiadając na pytanie o początki pisma redaktor Grupiński zapomniał dodać tej, jak nam się wydaje, jednak istotnej informacji. Może rzeczywiście w dzisiejszych czasach niestosownym jest się chwalić informacją iż pismo ukazywało się nakładem SW, lecz uważamy że przyzwyczajenie tego by wymagała.

Publikując tą drobną uszczypliwość, zachęcamy jednocześnie naszych czytelników do lektury tego interesującego pisma. Niebawem w księgarniach i kioskach „Ruch”-u pojawi się n-r listopadowo/grudniowy.

DZIĘKUJEMY!

panu Marianowi Gołębiowskiemu za wpłatę 20\$ na fundusz wydawniczy pisma, Stawkowi Mikołajczakowi za przekazane n-ry *Commentary, Encounter, The National Interest, Policy Review*, książki dla bibliotek polskich w Sowietach i na emigracji.

Redakcja SW składa serdeczne podziękowania wszystkim Czytelnikom, których wpłaty na Fundusz Wydawniczy umożliwiają wydawanie pisma.

STARE ULICE

Zdarzyło mi się zawędrować do Żabkowic. Zagościłem u Andrzeja i Tereski. Następnego dnia, a był to niedzielny poranek, ruszyłem na spacer po mieście. Wylazłem na plac, który od wielu miesięcy nazywany jest Rynkiem. Łażę, patrzę, a tu z muru świeci mi w oczy napis pl. „15 Grudnia”. Gmina biedna, więc tablic nie było za co wymienić. - pomyślałem i wpadłem na wariacki pomysł, żeby się czepiać przechodni pytań: „Z czym panu /pani/ kojarzy się data 15 Grudnia?”. Większość indagowanych zbywała mnie przystawianym „cholera wi”, ale było kilka odpowiedzi godnych odnotowania. Dziesięcio albo jedenastolatek stwierdził, że to było „jakieś komunistyczne święto”. Panienska w wieku maturalnym określiła tę datę nader dostadnie: „Zjednoczył się wieprz ze świnią”. Facet na tzw. zdrowym cyrku poczęstował mnie piwem i wyliczanką: „Trzynastego nie wypadało fetować. Siedemnastego tym bardziej. No to masz pan prosty rachunek”. Kiedy już wracałem do Wrocławia zadałem sobie pytanie: „Czy ta gmina z powodu biedy, czy też na wszelki wypadek zostawiła owe nieszczyśne tablice?”

Antek ROSZAK